NERD MAG

ISSN 2720-0876

NERDMAG ♛ NUMER PIERWSZY

2021/1

Drogie nerdy!

Oddaję Wam na pożarcie pierwszy numer magazynu „NerdMAG". Mam nadzieję, że wyszedł smaczniutki.

Ponieważ trwa pandemia, tematem przewodnim są wędrówki. Takie dosłowne, po górach i lasach, a także umówmy się, każdy materiał w tym numerze jest czyjąś osobistą podróżą.

Ten magazyn jest namacalnym dowodem na to, że warto czasem puścić wodze fantazji. Może się wtedy okazać, że wpadniemy na jakiś pomysł, a stąd już tylko krok, żeby coś narysować, wydłubać, uwiecznić, zwiedzić, znaleźć, poeksperymentować. Potem można się tym podzielić i przynieść komuś niespodziewaną radość.

0 Rok 2020 został powszechnie i należycie uznany za nieudany. Na szczęście nerdonocna publiczność w każdy czwartek celebruje każdy pozytyw rosnący w szczelinach betonu.

1 Na początku grudnia nerdy na wesołej grupce Nerdów Nocą w grupie rozmarzyły się o tym, o czym chciałyby czytać. Nostalgia błyskawicznie poniosła nas w przyjemne miejsca. W ciągu kilku godzin rozkwitł z tego pomysł o niemal konkretnym kształcie.

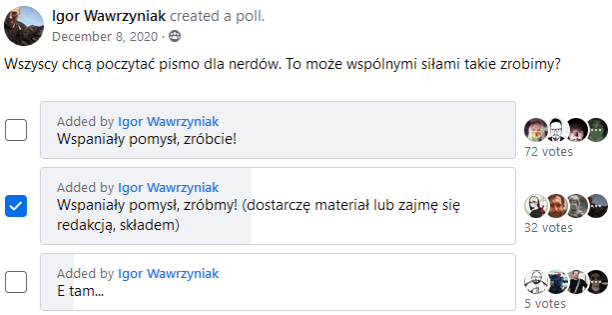

Minęło znów kilka godzin...

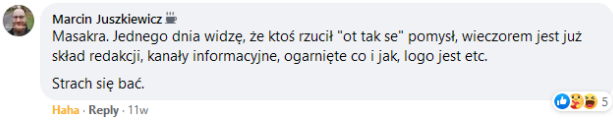

2 Dwa tygodnie później sekretarz redakcji Bianka zorganizowała pierwsze kolegium. Decyzje techniczne, merytoryczne i biznesowe sprowadziły się do jednego – wykorzystamy swoje najróżniejsze doświadczenia, aby dobrze się bawić i czegoś nauczyć nawzajem, ponieważ robimy magazyn pro publico bono oraz kompletnie na wariata.

3 Do końca roku dotarły teksty i zdjęcia. Do walentynek większość była po korekcie. Do kwietnia skład, poprawki, autoryzacje, poprawki, przekładanie, układanie... Równolegle święta, rocznice, choroby, ozdrowienia, kryzysy, sukcesy, zmiany w życiu oraz pisanie wstępniaka. Każda redakcja to złożony organizm, który słusznie budzi fascynację i grozę.

4 Udział wzięło mnóstwo fantastycznych ludzi! W numerze dzielą się swoimi doświadczeniami, podróżami, przygodami i pomysłami. Chciałam nawet z grubsza opisać materiały we wstępniaku, ale przecież nikt nie czyta wstępniaków. Im szybciej skończę, tym prędzej przeczytacie spis treści i dalej już jakoś pójdzie.

Dziękuję autorkom i autorom za chęć dzielenia się swoimi przygodami i przemyśleniami. Dziękuję wspaniałej redakcji za entuzjazm, cierpliwość i ciekawość. Ty też pomyśl ciepło o osobach wymienionych w stopce, należy im się :)

Mam nadzieję, że pierwszy numer „NerdMAG-a" będzie bawić, cieszyć oko, a przede wszystkim – inspirować. Rób rękodzieła, uwieczniaj podróże, notuj przemyślenia, dokumentuj hobby, baw się! Świat bywa okropny, więc wszystko, co lubisz, zmienia go na lepsze! Może Twoja podróż znajdzie się w kolejnym numerze i przyniesie trochę radości innym nerdom?

To mój pierwszy wstępniak! Jestem bardzo podekscytowana. Miłej lektury.

Kaja

TEMAT NUMERU: PROJEKT PODRÓŻ
Rok Czeski 4
PISZE I RYSUJE ➡ RENATA LIZUREJ

TEMAT NUMERU: PROJEKT PODRÓŻ
Wyprawa do źródeł Sanu 16
PROWADZI ➡ MAREK GRUDNIK

RĘKODZIEŁO
Ogon kitsune – lisia półka 23
RZEŹBI ➡ MIKOŁAJ PAWLACZYK

ELEKTRO KOSMOS
Łapiemy Inmarsata 25
MONTUJE ➡ WOJCIECH „VOY" PASIECZNIK

RAPIERY
Dzień Orła 31
OPOWIADA ➡ ZŁY MAJOR WITEK

RĘKODZIEŁO
Gunpla is freedom! 34
SKŁADA ➡ YACOOB

FOTO
Makroświat 37
PREZENTUJE ➡ DOROTA WILCZEK

ELEKTRO RETRO
FujiNet 39
TESTUJE ➡ MACIEJ „KRAP" GRZESZCZUK

PRAKTYCZNY KĄCIK PROGRAMISTYCZNY
Jajeczka w 302 liniach Lua 43
KLEPIE ➡ EMIL OPPELN-BRONIKOWSKI

CHLOROFIL
Wilczomlecz 52
PRZEDSTAWIA ➡ ANNA STUDNIAREK

MNIOM
Chutney bananowo-pietruszkowo-imbirowy 54
GOTUJE ➡ KAROL LESIAK

MNIOM
Z archiwum 56
WERTUJE ➡ EWA MARCZYŃSKA-GOLDSTEIN

;)
Najprostsza krzyżówka ever 58
ŚMIEJE SIĘ ➡ SENESZAL

PRASA OD ZAPLECZA
„Zin80" 59
OPOWIADA ➡ TYGRYS

GRY OD ZAPLECZA
Pendrive znaleziony w trawie 61
WZDYCHA ➡ BOREK

PODRÓŻ FILOZOFICZNA
Czy buddyści wierzą w Boga? 64
ROZWAŻA ➡ RENATA LIZUREJ

KĄCIK ROZWAŻAŃ
Czy gry są sztuką? 71
ZASTANAWIA SIĘ ➡ MYUTSUU

KĄCIK POEZJI
BezSensul 75
➡ SLEEVA

PROZA
Zilcarz 76
➡ ARTUR OLCHOWY

KREWNI I ZNAJOMI KRÓLIKA
Polecanki po znajomości 92

Kontakt:
- nerdynoca.pl/nerdmag
- hasztag #nerdmag
  na grupie „Nerdy Nocą w grupie"
- nerdmag@nerdynoca.pl

Redakcja nie zwraca.
Prawa autorskie należą.
Nie powielać, udostępniać.

NerdMAG, wydanie 1.
ver. 1.01 / 2021.05.25:19.45

Stworzył zespół:
Agnieszka Klamborowska
Bianka Rowińska (SekRed)
Dorota Wiszniewska
Kaja Mikoszewska (RedNacz)
Marek Kowalik
Sylwia Drężek-Bochnacka

ISSN: 2720-0876

Wydał wydawca:
Fundacja Historii Komputerów Domowych
ul. Majewskiego 10/2
Warszawa 02-104

Ilustracja: Maciej „Krap" Grzeszczuk

Rok Czeski

Zamysł był prosty. Czytam książki dotyczące Czech albo napisane przez czeskich autorów. Następnie rysuję recenzję każdej z nich.

PISZE I RYSUJE ➡ **RENATA LIZUREJ**

Po co? Na co? Dlaczego?

Prywatny projekt Rok Czeski powstawał przez cały 2018 rok z książek zebranych przeze mnie przypadkowo i nieprzypadkowo. Jedne polecili mi znajomi, inne kupiłam na wyprzedażach i targach oraz w małych wrocławskich księgarniach. Zdobytych z taką pieczołowitością egzemplarzy nie wypadało nie przeczytać.

Zaczęło się od tego, że kupiłam w prezencie dla siostry książkę Mariusza Szczygła „Gottland". Jadąc tramwajem, zajrzałam do niej i przejechałam swój przystanek...

Zastanawiałam się później, jak to możliwe, że kraj, od którego dzieli nas (Dolnoślązaków) zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, jest mi zupełnie nieznany.

Wyjazdy do Czech, kolejne wycieczki i eksploracje upewniły mnie, że mam do czynienia z niezgłębionym fenomenem. W końcu wykluło się we mnie pytanie: dlaczego Czesi i Polacy – sąsiedzi i językowi bracia – tak bardzo się od siebie różnią?

Przed rozpoczęciem projektu wiedziałam o Czechach raczej niewiele:

- powierzchnia ¼ Polski,
- ludność tak samo,
- ogłoszenie niepodległości w 1918 roku,
- prawie przestali mówić w swoim języku, a potem znów zaczęli,
- mają tylko jednego noblistę w dziedzinie literatury,
- mają dobrych reżyserów,
- mają kilku doskonałych pisarzy, a jeden z nich został nawet prezydentem,
- kilka innych nieistotnych rzeczy.

Zamysł był prosty. Czytam książki dotyczące Czech albo napisane przez czeskich autorów. Następnie, żeby po lekturze pozostał jakiś ślad, rysuję recenzję, a obrazek wrzucam na FB.

Zobaczcie, co z tej przygody wynikło.

> Czytając czeską literaturę, trudno uwierzyć w to, że mają tylko jednego noblistę z tej dziedziny – i jest to w dodatku modernistyczny poeta.

1. Czeski lew

To pierwszy obrazek. Przedstawia czeskiego lwa – godło Czech.

Po 1989 roku Polacy i Czesi obradowali w swoich parlamentach nad tym, jak ma wyglądać ich nowe godło. Rodzima dyskusja skupiła się na koronie piastowskiego orła. Nasi południowi sąsiedzi najgoręcej debatowali o wielkości i wyglądzie genitaliów lwa...

2. Mariusz Szczygieł, „Gottland"

Możliwe, że ta książka zrobiła dla stosunków polsko-czeskich więcej niż jakikolwiek polityk. Spowodowała jednak również, że Polacy zaczęli patrzeć na Czechów przez szczygłowe okulary fascynacji i pewnej (jednak) idealizacji.

Przeczytałam ją ponownie po 10 latach. Nadal z miłością opisuje wielkie losy małego narodu.

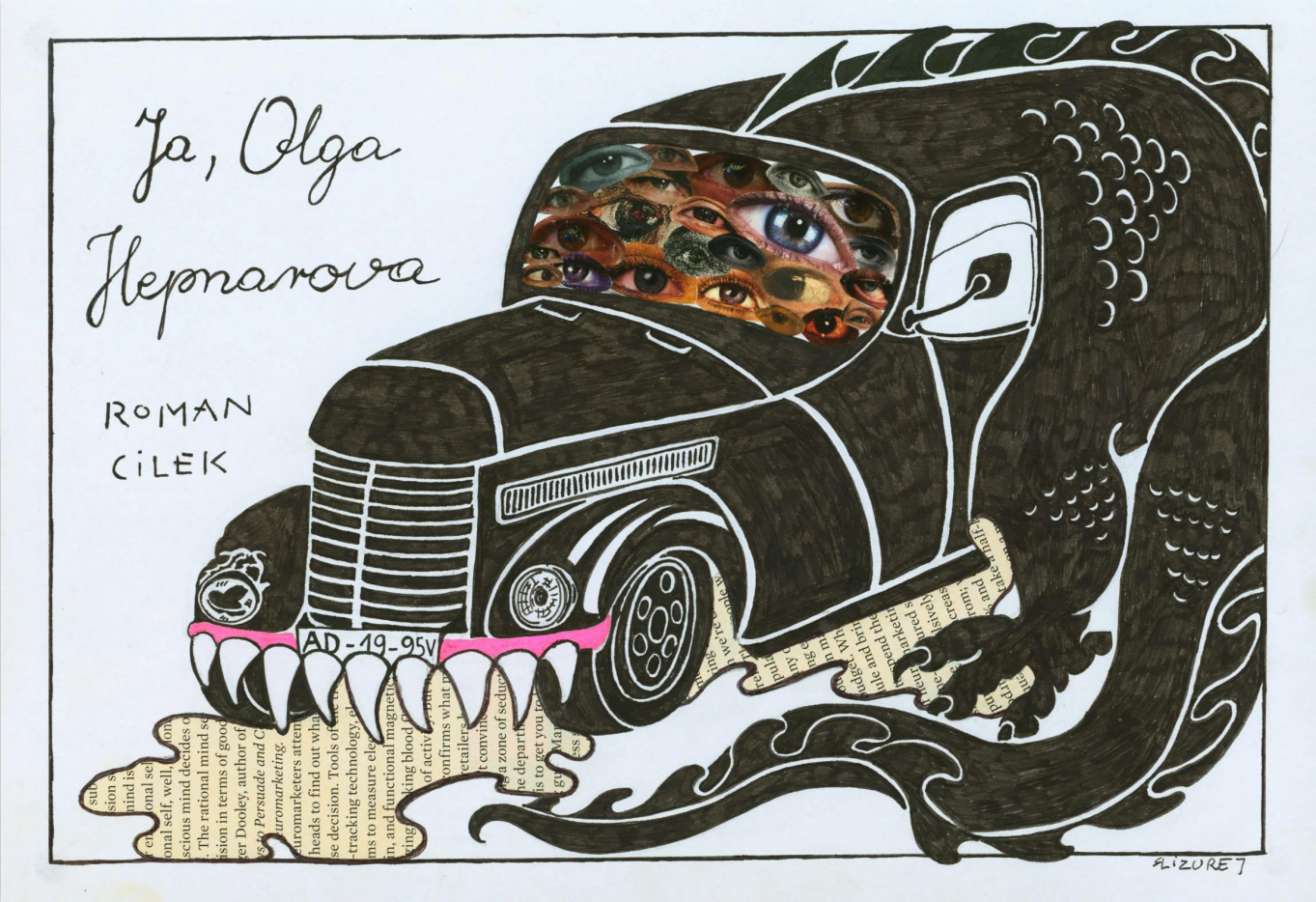

3. Roman Cilek, „Ja, Olga Hepnarova”

Podobno w początkach profilerstwa uważano, że wielokrotni mordercy to jedynie biali, amerykańscy mężczyźni. Nie wiem, czy prekursorami tej nauki powodowały seksizm i rasizm, czy też mieli za mało danych badawczych, nie wiem nawet, czy to prawda, ale postać Olgi temu zdecydowanie przeczy. Ona sama kojarzy mi się z Tedem Kaczynskim. Oczywiście Czeszka nie miała tak głębokich przemyśleń o świecie jak Unabomber, nie była też tak wykształcona ani inteligentna, podobieństwa jednak są. Oboje byli społecznie nieprzystosowani (co mogło być jakąś formą zespołu Aspergera) i przekonani o tłamszeniu i niszczeniu jednostek przez opresyjne społeczeństwo, którego wymaganiom nie można sprostać. Ostatecznie oboje też podjęli decyzję o buncie i ukaraniu tego społeczeństwa w niezwykle radykalny sposób.

Ciężko było narysować recenzję, bo książka została zekranizowana i film ma świetne plakaty :)

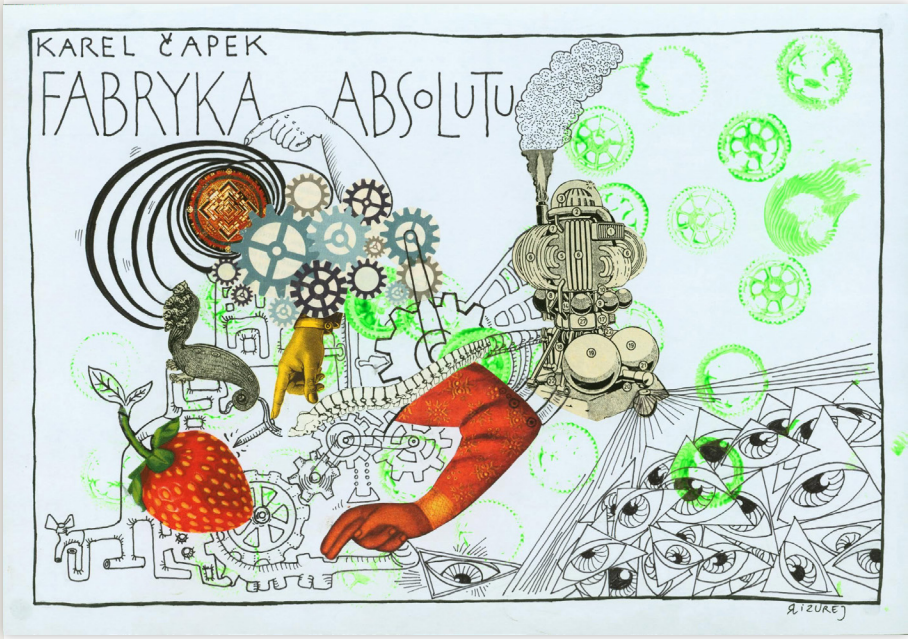

4. Karel Čapek, „Fabryka Absolutu”

Pierwsze i nieostatnie odkrycie mojego Roku Czeskiego.

Karel Čapek, autor słynnego dramatu „RuR”, w którym po raz pierwszy użyto słowa „robot”. Wizjoner, którego opowieści nic a nic się nie zestarzały. Bierzcie i czytajcie z tego wszyscy!

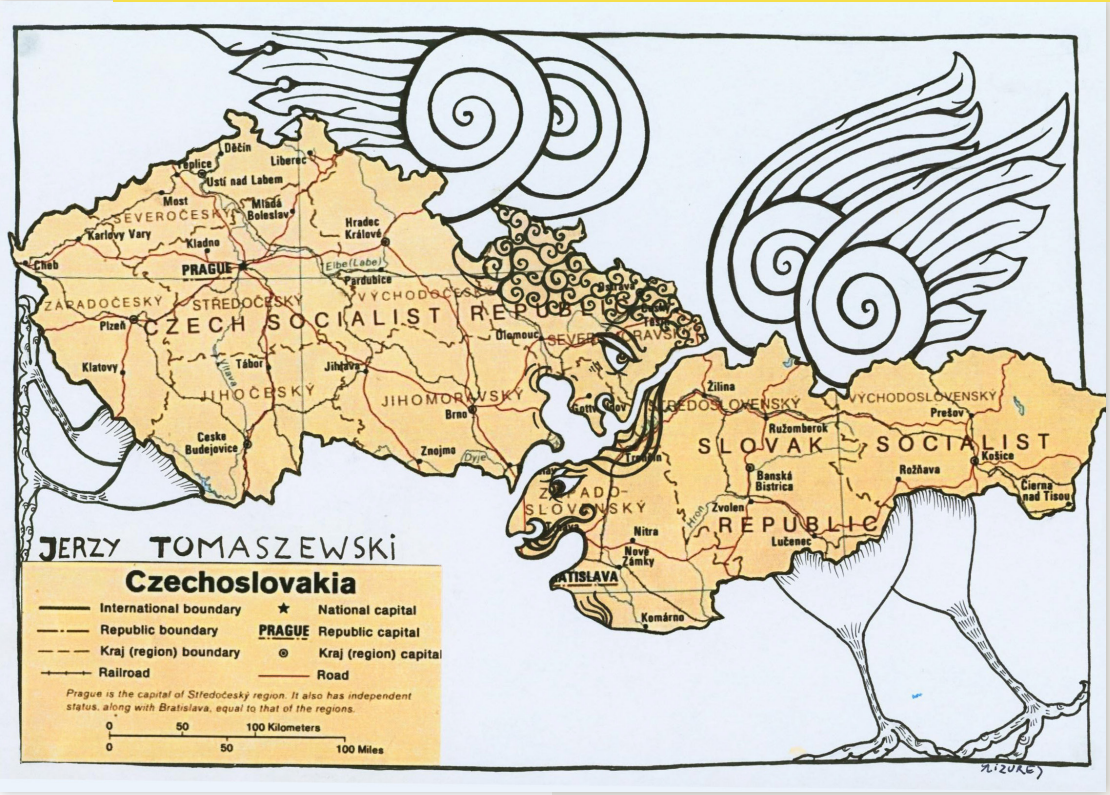

5. Jerzy Tomaszewski, „Czechosłowacja"

Jedno z lepszych opracowań historycznych na ten temat, jakie dane mi było czytać. Można się z niego wiele dowiedzieć.

6. Bohumil Hrabal, „Rozpirzony bęben"

To chyba najbardziej znany i lubiany w Polsce czeski autor. „Bęben" zaskakuje językiem i gęstością tekstu. Hrabalowska „gadka knajpiana" („výpravěnka") osiąga tu swoje apogeum.

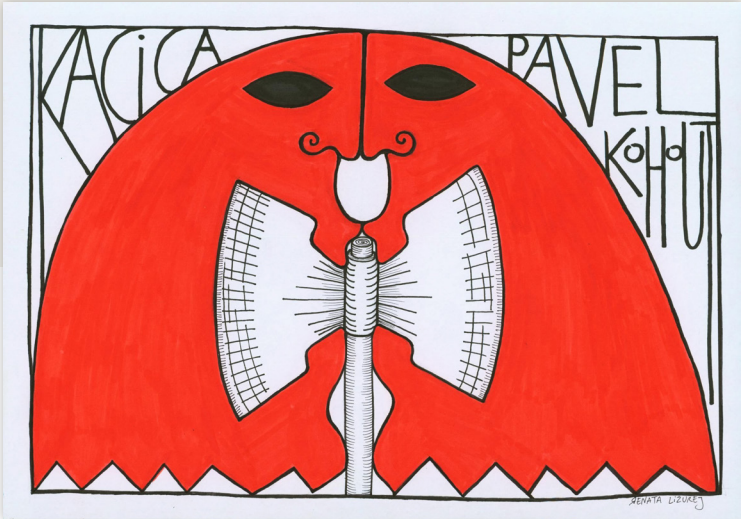

7. Pavel Kohout, „Kacica"

Bardzo czeska przypowiastka, w założeniu o systemie komunistycznym, a realnie o każdym.

Bardzo chciałam ją przeczytać, bo autor w czasach rozliczeń z minioną epoką oficjalnie wybaczył przyjaciołom, którzy na niego donosili i przez których siedział. Powiedział nawet, że ich rozumie i nadal chce z nimi pić piwo i spędzać czas, bo nie wie, jak by się zachował na ich miejscu.

Gdy porównałam tę książkę z rodzimym filmem dokumentalnym „Trzech kumpli", przeszło mi przez głowę pytanie, kto jest moralnym zwycięzcą – Wildstein czy Kohout? Czy w ogóle wolno coś takiego oceniać?

8. Tomáš Přidal, „Kokosowa małpa”

Zdecydowanie najsłabsza książka w Roku Czeskim.

9. Aleksander Kaczorowski, „Praski elementarz”

Warto przeczytać, fajny, ale nie przebija Szczygła.

10. Petr Šabach, „Dowód osobisty”

Rzecz o dorastaniu w czasach komunistycznych. Czeski humor i smaczek: autor idzie na bibliotekoznawstwo i wszyscy go żałują :)

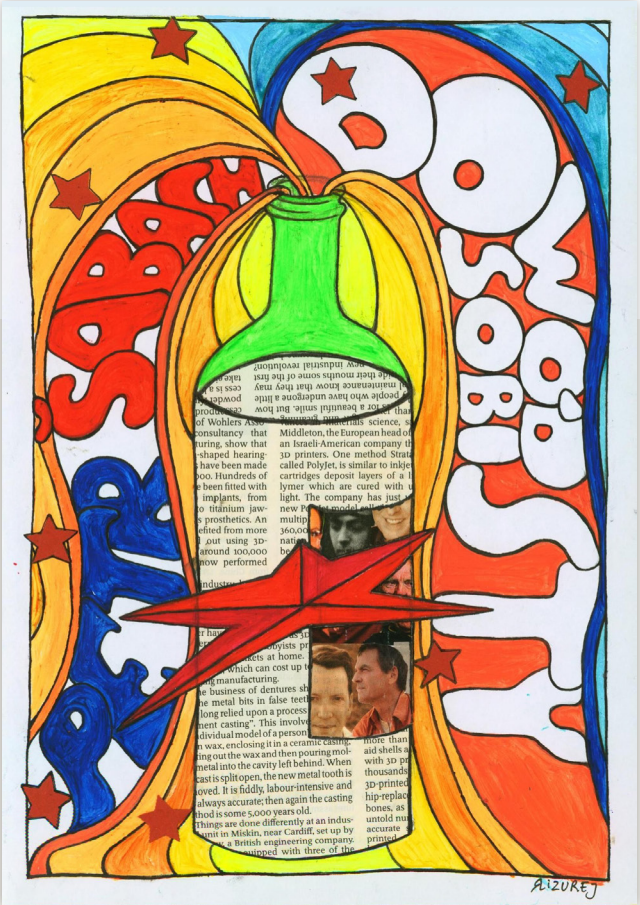

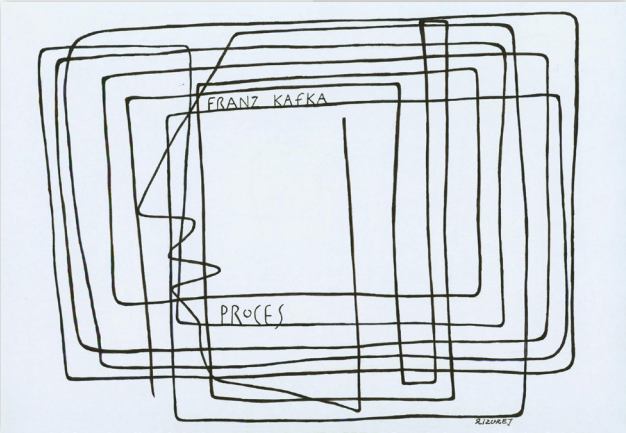

11. Petr Měrka, „Jestem egzaltowaną lentilką"

Kolejne pozytywne zaskoczenie Roku Czeskiego. Książka polecona mi przez Gosię W., fankę literatury erotycznej.

Katastroficzno-anarchistyczne porno w wydaniu wariacko-surrealistycznym. Określenia z recenzji wydawniczej: „science fiction o dewiantach, horror erotyczny, pornograficzna krytyka społeczna". Nie wierzę, że ta książka wyszła w Polsce!

Mój przyjaciel z dzieciństwa pracował kiedyś przez kilka lat w Czechach i twierdził, że Czesi mają tylko dwa prawdziwe hobby: seks i piłkę nożną...

12. Jaroslav Hašek, „Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej"

Najbardziej znana czeska książka. Napisano całe tomy na jej temat. Jest tak dobra, że aż uwięziła Czechów w swoim micie. My, Polacy, czytamy ją tak, jak ją przetłumaczył Paweł Hulka-Laskowski i tak też widzimy naszych południowych sąsiadów.

13. Franz Kafka, „Proces"

Książka, która nie powinna się tu znaleźć, bo nie należy do literatury czeskiej, ale Kafka był i jest tak silnie związany z Pragą i Czechami, że się jednak znalazła.

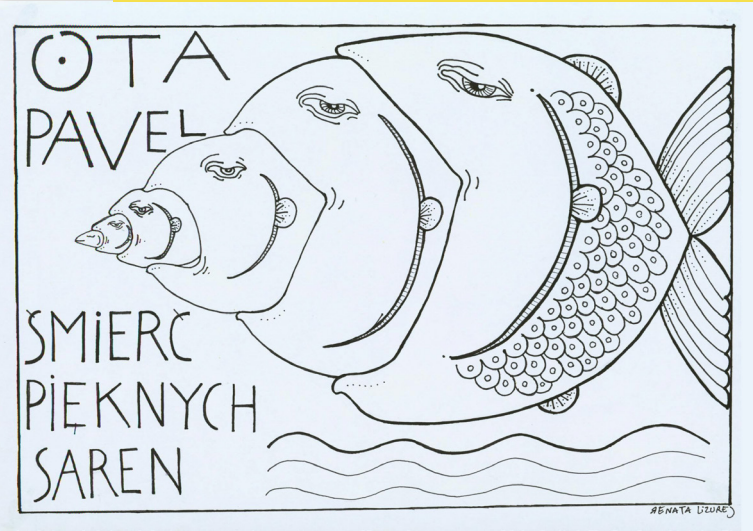

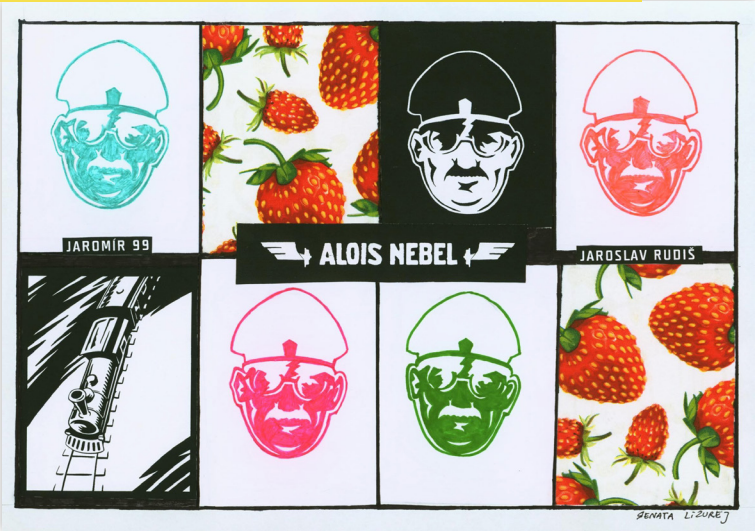

14. Karel Michal, „Straszydła na co dzień”

Pozornie niepozorna książeczka, pełna humoru, sięgająca do bajarskiego dziedzictwa Słowian i Germanów. Zgrabna i dowcipna, napisana przez prawdziwego czeskiego intelektualistę i dysydenta.

15. Ota Pavel, „Śmierć pięknych saren”

I znów zawinił Szczygieł, bo czemu nie przeczytać w Roku Czeskim jego ukochanej książki? Utwór piękny, niezwykły, ale nie stał się książką mojego życia – za dużo ryb w nim ginie…

16. Jaromir 99, Jaroslav Rudiš, „Alois Nebel”

W Księgarni Hiszpańskiej we Wrocławiu, która dziś dożywa niestety swoich dni, spytałam, czy wyszedł w Polsce jakiś czeski komiks, bo pasjami lubię ten gatunek, a nie mam żadnego w Roku Czeskim. Podpowiedziano mi „Aloisa Nebela”. To moje kolejne zaskoczenie i miłość. Klimat z „Pustiny”, ale opowieść jak z Hrabala.

17. Egon Bondy, „Szaman”

Chciałam włączyć do Roku Czeskiego wiersze Bondy'ego w tłumaczeniu Leszka Engelkinga. W końcu śpiewali je The Plastic People of the Universe, niestety były tylko na miejscu w Bibliotece Uniwersyteckiej. Znajoma zaproponowała mi udostępnienie „Szamana”, więc niespodziewanie się tu znalazł.

Książka może nie genialna, ale interesująca. Bondy to postać arcyciekawa i wymykająca się niemal wszystkim szablonom i ocenom. Nie nasuwa mi się porównanie z nikim z polskiej kultury.

18. Halina Pawlowská, „Dzięki za każdy nowy ranek”

Miał być babski obyczaj i jest. Pogodny i z nutką humorystyczną. Normalnie nie czytuję takich książek, więc nie wiem, jak wypada w swojej klasie. Dla mnie w porządku.

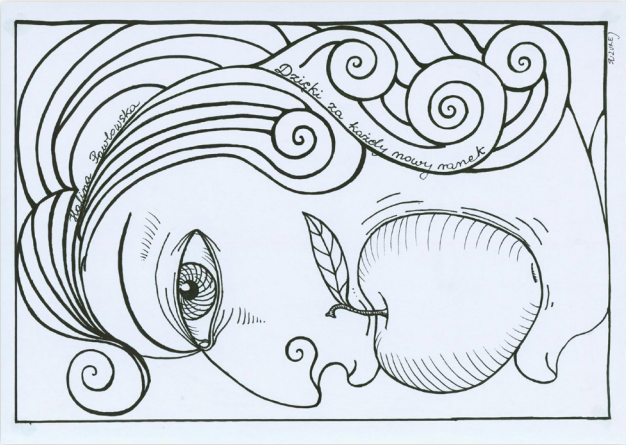

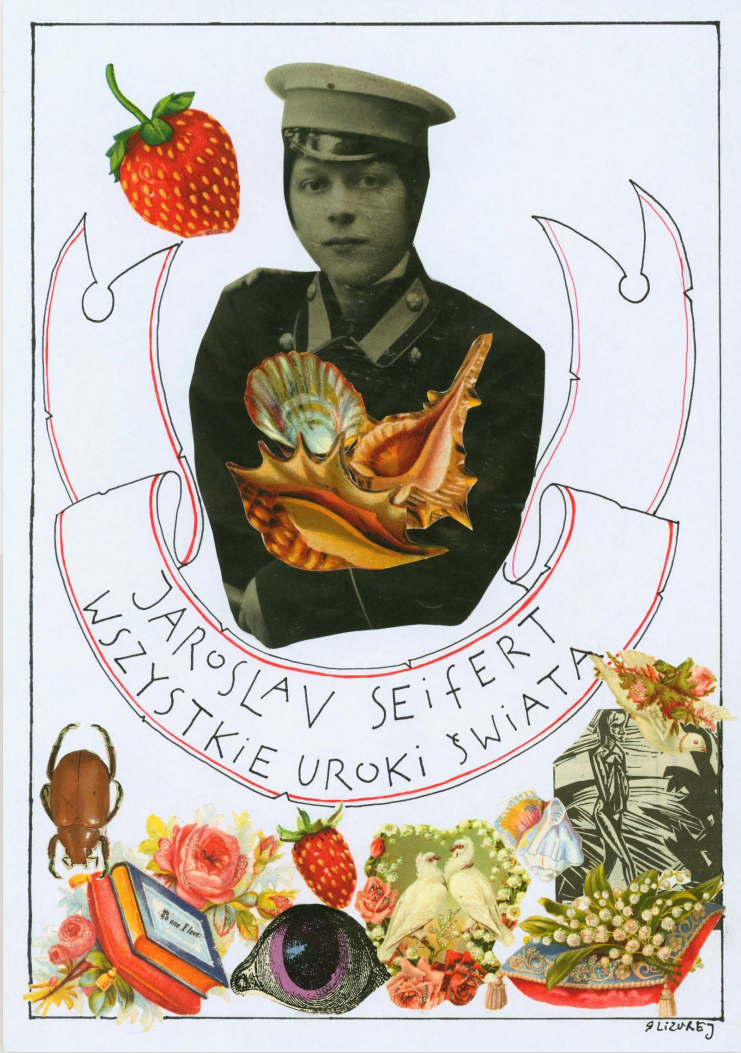

19. Jaroslav Seifert, „Wszystkie uroki świata. Przypadki i wspomnienia”

Czytając czeską literaturę, trudno uwierzyć w to, że mają tylko jednego noblistę z tej dziedziny – i jest to w dodatku modernistyczny poeta. W socjalistycznej Czechosłowacji władze miały z nim problem. Był wprawdzie komunistą i związkowcem, ale jednocześnie ewidentnie nie chciał się podporządkować władzy (już w 1929 roku po podpisaniu tzw. Manifestu Siedmiu, protestu przeciwko bolszewickiej tendencji w nowym kierownictwie KPCz, został usunięty z jedynie słusznej partii). Był znanym poetą i przewodniczącym Czeskiego Związku Literatów, podpisał Kartę 77, miał zakaz pracy dziennikarskiej od lat 50.

Ten niezwykle ciekawy człowiek, z bogatą literacką przeszłością, napisał wspomnienia o tym, jak on, syn robotników z Žižkowa, miał zaszczyt poznać wspaniałych twórców kultury czeskiej. Ujmujący brak pychy i bufonady oraz piękne, romantyczne i empatyczne widzenie świata. Wspaniale było przejść się ulicami przedwojennych Pragi i Paryża z tym skromnym, wrażliwym człowiekiem.

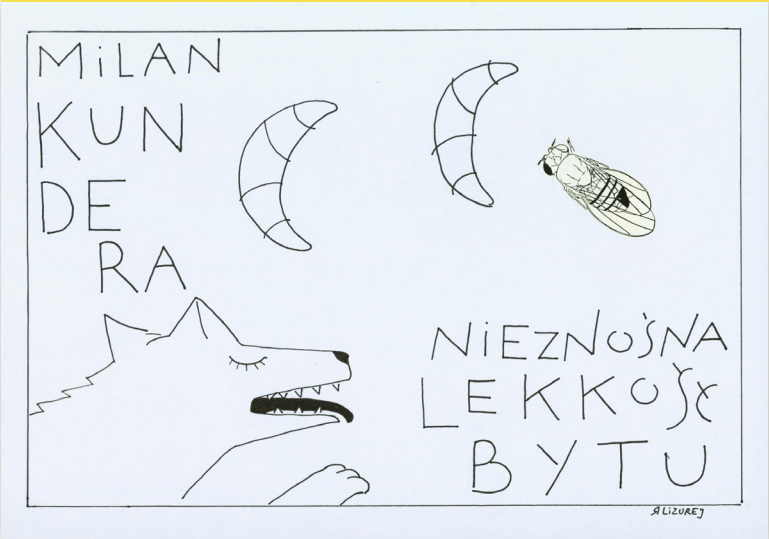

20. Milan Kundera, „Nieznośna lekkość bytu”

Okazja do powrotu po wielu latach. To opowieść, która wżera się w mózg. Nie miałam nigdy psa, ale moje koty mają imiona bohaterów albo autorów książek czytanych przeze mnie: to hołd dla Karenina.

Moja siostra po powrocie z ostatniego protestu powiedziała: „Robiłam zdjęcia, ale tak, żeby nie sfotografować twarzy, choć teraz mają takie środki, że i tak zidentyfikują, ale wiesz, żeby nie było jak u Kundery...”.

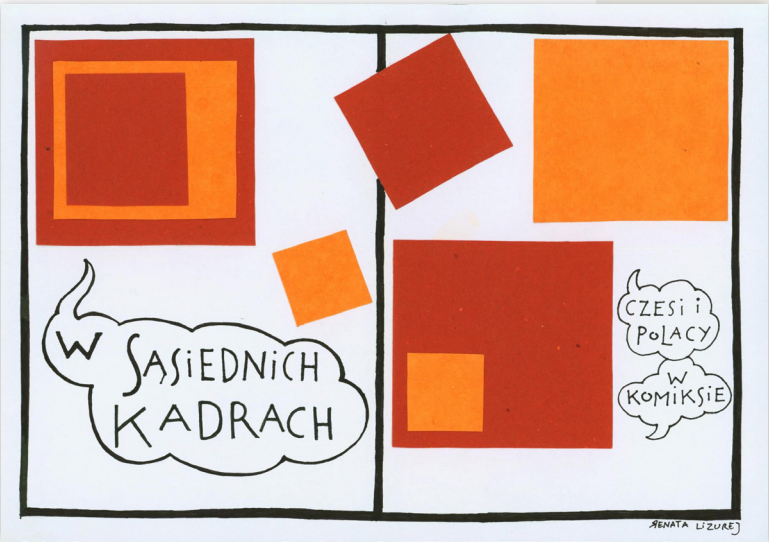

21. „W sąsiednich kadrach. Polacy i Czesi o sobie w komiksie”, praca zbiorowa

Podczas poszukiwań czeskiego komiksu trafiłam na takie coś – i od razu wiedziałam, że to jest tytuł do Roku Czeskiego. Niezobowiązujące, prywatne opowieści o dwóch narodach żyjących obok siebie.

Za komentarz niech posłuży niedawny transparent powieszony w Cieszynie po polskiej stronie: „Stýská se mi po tobě, Čechu”, na który niezwłocznie odpowiedziano zza zamkniętej w wyniku koronawirusa granicy „I ja za Tobą, Polaku”.

22. Mariusz Surosz, „Ach, te Czeszki”

Surosz jest traktowany trochę jak adwersarz wiecznie zadowolonego i zachwyconego Szczygła, nie ma niestety jego polotu ani talentu. Nie warto się tym zrażać, bo z nawiązką nadrabia braki świetnym doborem tematu i bezkompromisowym dążeniem do prawdy. To u niego pierwszy raz przeczytałam o pogromach Niemców sudeckich. Każdy raj ma swoje piekiełko, do którego niechętnie się przyznaje. Z własnego podwórka wiemy, że im rzadziej się sprząta, tym więcej brudu się zbiera, a im więcej jest brudu, tym trudniej się spod niego wygrzebać.

23. Pavel Trojan, „Wolna republika Žižkov. Praga nieznana”

Co można napisać o przewodniku po robotniczej dzielnicy wielkiej turystycznej atrakcji? To, że jest także wielką turystyczną atrakcją, ale dla hipsterów. Chciałam pojechać z nim na Žižkow, ale pandemia…

24. Milan Kundera, „Żart”

Książka bezwzględnie piękna, kto nie chce czytać o historii i polityce, niech czyta o życiu.

25. Jan Pelc, „…I będzie gorzej…”

Długo się zastanawiałam, czy ta książka ma odpowiednik w polskiej literaturze. Jeśli ma, to na pewno nie tak ambitny jak powieść Pelca. Subkultury przełomu lat 70. i 80. widziane oczami chłopaka z mieszczańskiego domu w małym miasteczku. Alkohol, alkohol, alkohol, jeszcze tańszy alkohol, muzyka rockowa, seks i Szumawa (odpowiednik naszych Bieszczad) – formy buntu dostępne najmniejszym. Potem emigracyjna ucieczka, ale nie taka Škvoreckych i Kunderów. Obóz dla uchodźców, przemoc, więzienie, pozbawienie praw… Wszystko nadal niestety aktualne na tym świecie.

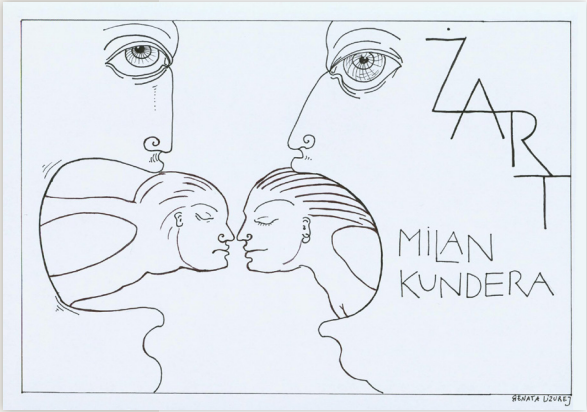

26. Marketa Bankova, „Sroka w krainie entropii”

Jeśli macie młodsze dzieci, to przeczytajcie im tę książkę, jeśli nie, to z przyjemnością przeczytajcie ją sobie. Potwierdzi tylko to, co wszyscy wiemy, ale szkolna tresura nam wyjaławia – nauka nie jest czymś oderwanym od życia, ale jest wynikiem obserwacji rzeczywistości.

27. Mariusz Szczygieł, „Zrób sobie raj”

Jeszcze raz o tym, że próby robienia rajów na ziemi są podejmowane zwykle przez mitomanów i tyranów. Dużo o czeskiej areligijności i polskiej religijności, która po 10 latach od wydania tej książki nie jest już takim pewnikiem.

28. Milan Kundera, „Tożsamość”

Francuski Kundera nie jest już czeskim Kunderą, nie dlatego, że nie umie, ale dlatego, że nie chce. Samo wydestylowanie go z czeskości nie chwyciło mnie za serce, niestety.

29. Iva Procházková, „Mężczyzna na dnie”

Chciałam przeczytać czeski kryminał. Na stoisku wydawnictwa Afera na Wrocławskich Targach Dobrych Książek panie z życzliwością słuchają o projekcie Rok Czeski i polecają nowość. Biorę, bo Iva Procházková to córka słynnego dysydenta i pisarza Jana Procházki, siostra Lenki Procházkovej – pisarki i dysydentki, której partnerem życiowym był z kolei Ludvik Vaculik, znany pisarz i dysydent. Mężem Ivy Procházkowej jest Ivan Pokorný, nie zgadniecie kto... znany czeski aktor.

Książka fajna, polecam lubiącym kryminały, nie jest to moja ulubiona czeska seria, ale przeczytałam z przyjemnością.

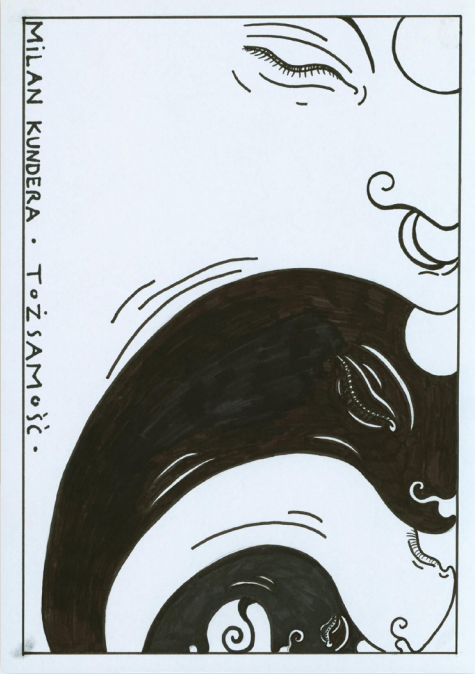

30. Bohumil Hrabal, „Obsługiwałem angielskiego króla”

„Ale ci zazdroszczę” – skomentowała moja przyjaciółka, gdy powiedziałam jej, jaką lekturą się delektuję podczas wspólnej podróży do Brzegu Dolnego.

Teraz sama sobie zazdroszczę. Kilka dni temu zwróciłam uwagę, że na znanym portalu czytelniczym ktoś przyznał tej książce ocenę 3/10. Zerknęłam na recenzję i miałam bardzo odległe w czasie déjà vu – siedzę na lekcji polskiego w ósmej klasie. Początek lat 90., małe miasteczko zrujnowane transformacją, reformą Balcerowicza i wszystkim, co się da. Nauczycielka po 10 minutach uciszania uczniów w końcu zadaje pytanie jednej z bardziej ogarniętych osób:

– Jaka jest myśl przewodnia „Małego Księcia”?

Uczeń wstaje i mówi nadąsany: – Ale my już jesteśmy duzi! Dlaczego pani nam każe czytać książki dla dzieci?

Nauczycielka pyta klasę: – Kto z was uważa, że jest to coś więcej niż książka dla dzieci? Zgłaszam się – pewna, że to pytanie retoryczne – jako jedyna.

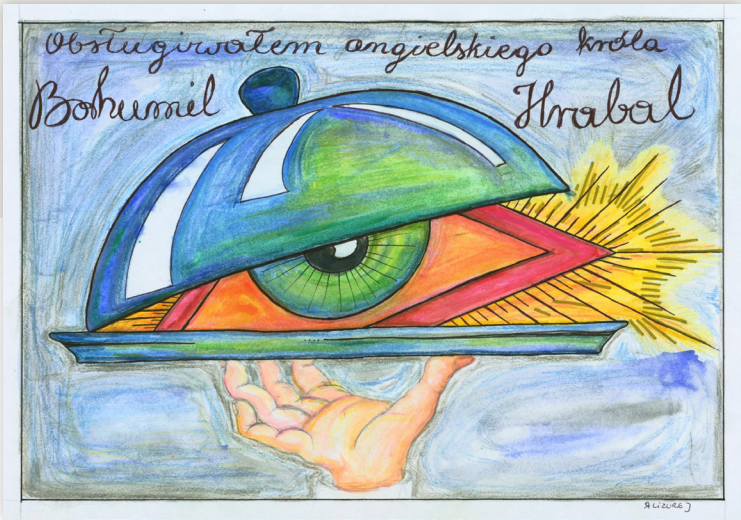

Zakończenie

Rok Czeski był dla mnie świetnym ćwiczeniem systematyczności, bo jako królową prokrastynacji tylko deadline jest w stanie mnie zmusić do ukończenia pracy. Rozpoczynając ten projekt, nie miałam żadnych bohemistycznych podstaw, a moimi literackimi punktami wyjścia były „Gottland” Mariusza Szczygła, „Czeskie sny” Pawla Kosatika i „Historia Pragi” Karela Krejčiego. Nie wiem też, czy historia Czech zafascynowałaby mnie do tego stopnia, gdyby nie „Trylogia husycka” Andrzeja Sapkowskiego.

Czy Rok Czeski odpowiedział na moje pytanie o genezę różnic między Czechami i Polakami? Trochę tak. Mam mgliste teorie, które najlepiej oddaje znana anegdota z „Osobistego przewodnika po Pradze” Mariusza Szczygła (wydanego w 2020 roku): „Wie pan, najwidoczniej nam nie przyszło do głowy, że wy, Polacy, tak lubicie być pomnikiem, podczas gdy my (Czesi) lubimy być gołębiem”.

Dołączam podziękowania dla mojego towarzysza wypraw do Czech i słuchacza moich wywodów na temat czeskiej historii – Maćka, z którym zwiedziliśmy dziesiątki fascynujących miejsc w Czechach i nie tylko.

> Mój przyjaciel z dzieciństwa pracował kiedyś przez kilka lat w Czechach i twierdził, że Czesi mają tylko dwa prawdziwe hobby: seks i piłkę nożną...

Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej na temat czeskiej literatury albo samego projektu Rok Czeski, zapraszam do kontaktu.

➡ RENATA LIZUREJ
socjolog i bibliotekarz, lubi rzeczy ładne i przerabia, co jej wpadnie w ręce, na kiczowate maskotki i plastikową biżuterię. Interesuje się religiami, szczególnie buddyzmem.
W 2021 roku planuje rozpocząć projekt Rok Indii – i przeczytać, ile się da, o Indiach, Pakistanie, Bangladeszu i Sri Lance. Książki te także zrecenzuje ilustracjami.

Wyprawa do źródeł Sanu

Cześć! To krótkie sprawozdanie z tego, gdzie byliśmy, a Ty musisz pojechać i zobaczyć na własne oczy. Trasa to wymagający spacer, choć należy go już traktować jak prawdziwe wyjście w góry.

PROWADZI ➡ **MAREK GRUDNIK**

Pogoda w Bieszczadach bywa kapryśna i może zmienić się diametralnie w ciągu kilkunastu minut. My – tym razem – mieliśmy pogodę wyborną. Wczesna jesień daje względnie długi dzień i przyjemną temperaturę powietrza, a chociaż bywa wietrznie – sprzyja to wędrowaniu po bieszczadzkich szlakach. To było nasze pierwsze wyjście po przyjeździe i choć byliśmy w Bieszczadach wielokrotnie, to tak daleko od wszelkiej cywilizacji, a jednocześnie tak blisko, jak przy granicy z Ukrainą jeszcze nie byliśmy.

Na początek dojazd. Bez własnego samochodu na parking w Bukowcu bardzo trudno się dostać, ale jadąc tam, zrozumiesz, dlaczego tak jest. Każdy metr oddala Cię od rzeczywistości i przenosi wiele lat wstecz. Wiem, że te kilka zdjęć, które przesyłam, pokaże Ci tylko malutki kawałek tego, co możesz doświadczyć. Każdy zwykły samochód osobowy tam dojedzie, ale auto typu SUV mile widziane.

Przygotowałem dla Ciebie mapę, żebyś niczego nie ominęła, a może i sama coś na niej dopiszesz. Jestem ciekaw, co mi opowiesz po powrocie.

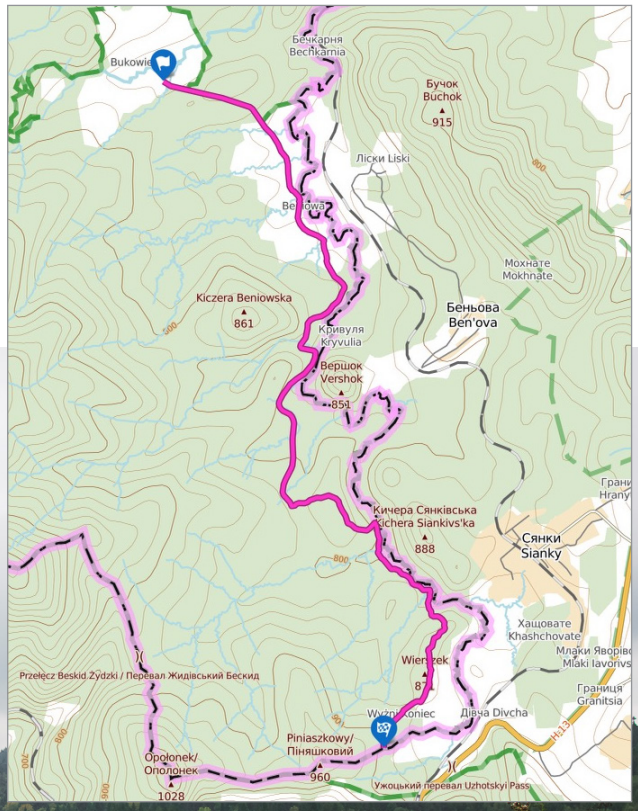

Bukowiec

Bukowiec

Niezależnie od pory roku na wyprawę potrzebne są wygodne buty i kurtka przeciwdeszczowa, aparat (ten w telefonie to minimum), coś do picia i przekąska (koniecznie). Szlak jest bardzo oddalony od jakichkolwiek miejsc, gdzie można coś kupić czy nawet kogoś spotkać. Jednocześnie jest na tyle łatwy, że nawet niewprawny turysta sobie poradzi. My na naszej wyprawie spotkaliśmy tylko kilka osób w ciągu siedmiu godzin, więc warto mieć ze sobą wszystko, co może się przydać.

Po zaparkowaniu w Bukowcu opłacasz wstęp do Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Kasa jest na parkingu, więc nie przegapisz jej na pewno.

Bukowiec to wieś wyludniona w 1946 roku w wyniku akcji „Wisła". Dziesięć lat później większość zabudowań została rozebrana, a w latach osiemdziesiątych dodatkowo saperzy pomogli usunąć to, co jeszcze pozostało. Teraz zobaczysz tam kilka krzyży i miejsce po cerkwi. Smutne.

Spacer nasz zaczniemy w kierunku Beniowej.

To opuszczona wieś, którą w lutym 1951 roku podzielono na mocy umowy o zmianie granic pomiędzy Polską a ZSRR. To wtedy w granice Polski trafił ten piękny kawałek terenu i jednocześnie doprowadził do podziału Beniowej i Sianek. Podział miał już miejsce wcześniej, bo od września 1939 roku przebiegała tutaj granica

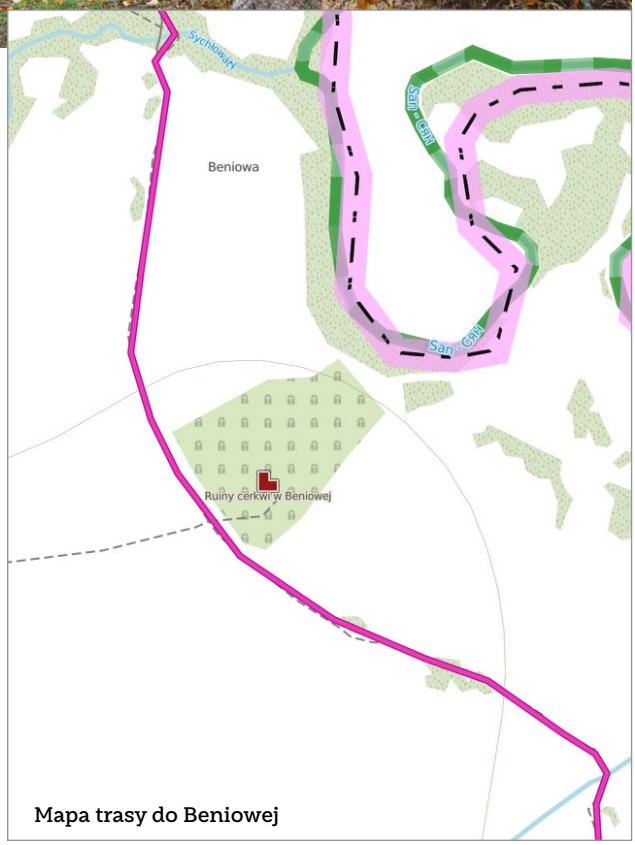

Mapa trasy do Beniowej

pomiędzy Niemcami a ZSRR. Obie wsie do dzisiaj funkcjonują i są zamieszkane po stronie ukraińskiej, natomiast po polskiej trudno już dojrzeć ślady zabudowań. Widać, że przyroda odebrała już większość terenu. Zostały tylko ślady po cerkwi i pozostałości cmentarza. Trudno sobie wyobrazić, że całkiem niedawno to miejsce było zamieszkane - teraz, jesienią, można spotkać najwyżej kilku turystów.

Na pewno warto tam się rozejrzeć. Będziesz mieć dość czasu, żeby zauważyć coś ciekawego i czego nie ma we wszystkich przewodnikach. Mnie podoba się ten spokój.

Dalej, po kilkudziesięciu minutach spaceru, zanim dotrzesz do Sianek, napotkasz pozostałości dawnego folwarku rodziny Stoińskich, przedwojennych właścicieli tych terenów. Warto się zatrzymać przy ich grobowcach, które tam pozostały.

Teraz już pewnie będzie pora obiadu na Twojej wyprawie, więc sprawdź, co dalej na szlaku. Następne są Sianki.

Trasa do folwarku rodziny Stoińskich

Miejsce po cerkwi w Beniowej

Pozostałości cmentarza w Beniowej

Fragment nagrobka z krzyżem na cmentarzu w Beniowej

W drodze do Sianek

Trudno uwierzyć, ale przed II wojną światową ta wieś była znanym ośrodkiem narciarskim. Mieściły się tu schroniska, liczne pensjonaty i restauracje. Były nawet skocznia narciarska i tor saneczkowy. Dowiedziałem się o tym już po naszej wycieczce i żałuję, że nie trafiłem na żadne ślady tych obiektów. Może Tobie się uda?

Reprodukcje pocztówek poniżej: po lewej Dom Turysty Przemyskiego Towarzystwa Narciarskiego, otwarty w 1936 roku, po prawej przedwojenne Sianki zimą

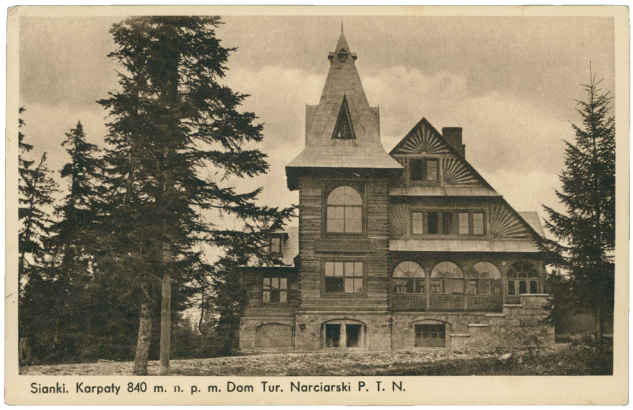

W drodze do Sianek

Widok na Sianki po ukraińskiej stronie

Po stronie ukraińskiej do dziś kursuje kolej łącząca Użhorod z Samborem. Zobaczysz ją, kiedy będziesz na miejscu — jest tak blisko.

Kiedy się już rozejrzysz i odpoczniesz, pora udać się do źródeł Sanu. Dotarcie do znaku granicznego numer 224 nie jest trudne, a nam dodało sił i nawet raz pomyślałem, że może podobne uczucie towarzyszyło odkrywcom źródeł jakiejkolwiek rzeki czy nawet strumyka ze ściekami za domem. Jestem odkrywcą! Ktoś był tu przede mną, ale i ja będę!

Czas na drobne rozczarowanie. Obelisk zawiera koordynaty prawdziwego źródła Sanu, niestety 200 metrów od tego miejsca, już na terytorium Ukrainy. Niby tak blisko, ale jednak świadomość, że to nie tutaj, trochę psuje zabawę. Jednak to ten znak graniczny był naszym celem, więc była duża satysfakcja z dotarcia do niego. Liczę, że Tobie także te emocje umilą koniec wycieczki.

Teraz powrót do Bukowca, to będzie Twoja historia.

Wracając z Bukowca samochodem, koniecznie zatrzymaj się w Mucznem. W okresie PRL-u był tu ośrodek łowiecki Urzędu Rady Ministrów, a teren był strzeżony przez żołnierzy Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW. Można wiele wieczorów spędzić na słuchaniu opowieści o tym miejscu.

Kiedy znów się spotkamy, na pewno coś jeszcze opowiem – na przykład o pięknych widokach na szlaku przez Halicz. Ale to następnym razem.

W drodze do źródeł Sanu

Na szlaku przez Halicz

Reprodukcje pocztówek i innych archiwaliów pochodzą ze zbiorów Biblioteki Narodowej. Pozostałe zdjęcia zrobiłem sam.

➡ **MAREK „BRODEK" GRUDNIK**
– fotograf, montażysta i niedoszły podcaster w jednym, Utrwalaczchwili.pl, fan ubierania codziennego życia w aplikacje.

Ogon kitsune – lisia półka

PRZEDSTAWIA ➡ **MIKOŁAJ PAWLACZYK**

Kitsune, czyli lisy, są związane z bóstwem Inari (mitologia japońska – buddyzm, shintō), czczonym za płodność, ryż, herbatę, sake, rolnictwo, przemysł oraz ogólny dobrobyt i sukces.

Istnieją dwa rodzaje kitsune: Zenko i Yako.

Zenko to przyjazne, dobre lisy pomagające ludziom, natomiast yako to te podstępne, które oszukują i płatają figle.

Znane są przypadki opętań ludzi przez kitsune. Zenko (dobre lisy) w odróżnieniu od dzikich yako robią to, aby nieść pomoc, na przykład kierując zagubionych w lesie podróżników na właściwą drogę do domu. Potrafią też rozwinąć u ludzi szczególne umiejętności lub wyleczyć z nieuleczalnych chorób. Zdarzało się, że osoby opętane przez lisy zyskiwały nadnaturalne zdolności, takie jak przewidywanie przyszłości...

Nadprzyrodzone zdolności lisów rozwijają się z wiekiem i większą liczbą ogonów. Kitsune może uzyskać maksymalnie dziewięć ogonów, a gdy osiągnie wiek stu lat, nabywa umiejętność zmiany kształtu w człowieka. Lisy zwykle przybierają postać młodych dziewcząt, pięknych kobiet lub starszych mężczyzn.

Ogon (ogony) kitsune to ich największe skarby, które są źródłem całej ich magicznej mocy...

➡ MIKOŁAJ PAWLACZYK
tworzy ogony kitsune w Integro – Arts and Crafts.

Łapiemy Inmarsata

Wokół naszej pięknej planety krąży wiele satelitów. Część z nich jest geostacjonarna, czyli porusza się zgodnie z prędkością obrotową Ziemi, dla obserwatora pozornie trwając w bezruchu. Należą do nich satelity oferujące dostęp do dziesiątków tysięcy stacji radiowych i telewizyjnych.

Część z nich oferuje jednak zupełnie co innego i do nich należy Inmarsat.

Na zdjęciu Ariane 5 w tej samej konfiguracji, która wyniosła na orbitę Inmarsat-4A. Foto: ESA-CNES-Arianespace, Photo Optique Vidéo CSG

PISZE ➡ **WOJCIECH „VOY" PASIECZNIK**

Zezując w Alphasata

Inmarsat to zajmująca się telekomunikacją satelitarną brytyjska firma oferująca globalne usługi mobilne. Użytkownikom na całym świecie świadczy usługi telefoniczne i usługi transmisji danych. Czyni to za pomocą przenośnych terminali komunikujących się z kilkudziesięcioma stacjami naziemnymi za pośrednictwem 13 satelitów telekomunikacyjnych. Z usług firmy korzystają rządy wielu krajów, media, przedsiębiorstwa (zwłaszcza w przemyśle morskim, lotniczym i wydobywczym), agencje pomocowe potrzebujące komunikacji w odległych regionach lub miejscach, gdzie nie ma niezawodnej sieci naziemnej. Jej satelitów używają też załogi statków, agencje celne i osoby prywatne. Transmituje się dzięki nim również dane pochodzące z ruchu lotniczego, między innymi statusy urządzeń pokładowych, komunikaty dla załóg, ostrzeżenia i informacje pogodowe ze stacji naziemnych, jak też rozmowy pilotów z jednostkami naziemnymi.

Tutaj skupię się na odbiorze danych z Inmarsatu-4A F4, zwanego Alphasatem, z pozycji 25 stopni na wschód. Możliwości odbioru jest kilka. W handlu oferowane są gotowe proste anteny, ale radioamator może wykonać taką samodzielnie. Wystarczą dobre chęci, trochę narzędzi i materiałów oraz odrobina zacięcia technicznego.

Ja skorzystałem z najprostszego sposobu. W brytyjskim sklepie SDR-Kits sprzedawana jest zmodyfikowana zewnętrzna antena GPS z usuniętym filtrem ceramicznym, dzięki czemu została odblokowana możliwość odbioru częstotliwości około 50-55 MHz poniżej pasma GPS. Inmarsat, jak i inne satelity nadające w mikrofalowym paśmie L, wykorzystuje polaryzację kołową prawoskrętną (RHCP). Odbiorca nie musi kierować anteny dokładnie w stronę satelity, co w przypadku istnienia przeszkód terenowych jest niezaprzeczalną zaletą.

Można też inaczej. W internecie znajdziemy opisy wykonania anteny z kilku laminatów płytek drukowanych: odpowiednie przycięcie i dobranie rozstawu umożliwia odbiór w miarę mocnego sygnału, zwłaszcza jeśli zamontuje się ją przed czaszą anteny offsetowej mającej powyżej 90 centymetrów średnicy. Na przykład na rosyjskim forum Radioscanner dostępny jest opis takiej anteny wykonanej z płytek miedzianych – w wersji nieco ekstremalnej, ale za to z bardzo wysokim poziomem sygnału.

Można kupić też najprostszy zestaw w postaci zwykłej płytki PCB. Jest to antena typu patch. Na rynku oferowana jest między innymi przez firmę Nooelec, która specjalizuje się w produkcji osprzętu do odbiorników szerokopasmowych. Konieczne jest dodatkowo zastosowanie przedwzmacniacza – na to pasmo lub uniwersalnego.

OK, zatem do rzeczy. Czego konkretnie potrzebujemy, by móc odebrać transmisję z Inmarsatu? Otóż niezbędny jest odbiornik radiowy, i to taki, który potrafi odbierać sygnały powyżej częstotliwości 1,5 GHz. Na rynku jest ich sporo, z czego znaczna część oparta jest na układzie RTL2832U firmy Realtek. Są to odbiorniki niewielkich rozmiarów, wykorzystujące do komunikacji z komputerem interfejs USB. Są w miarę tanie i łatwo dostępne. Pragnąc kupić takowy, nie skupiamy się jednak tylko na cenie, ale też na jakości wykonania. Szukajmy takich z metalową obudową (lepsze chłodzenie całości), termopadami na układach

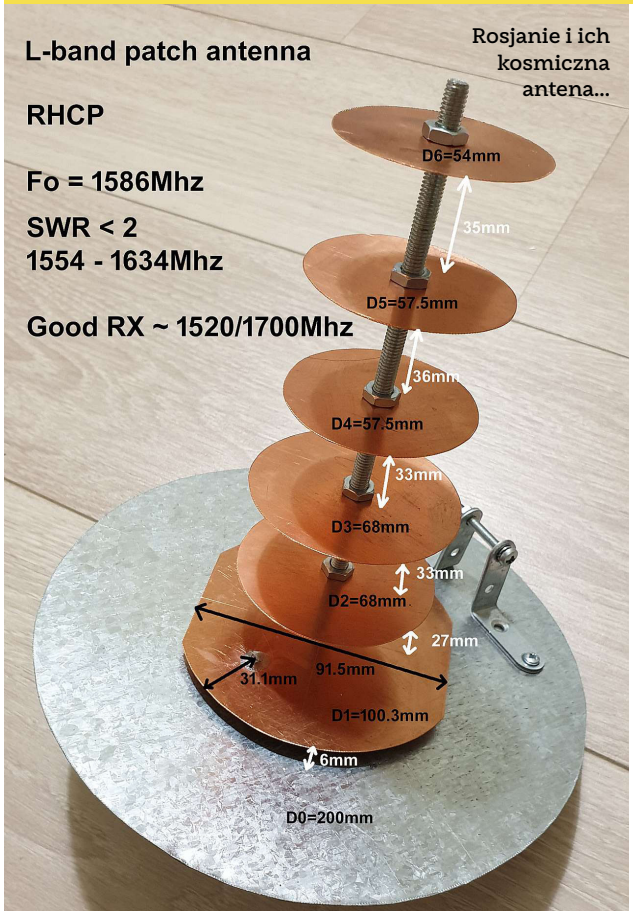

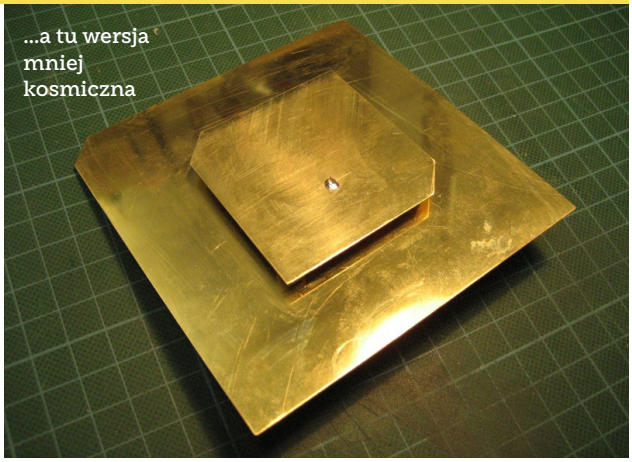

Prosta antenka typu patch

(jak wyżej), oscylatorem TCXO (stabilność wstrojenia się) i BIAS tee (zasilanie do 4,5 V, przydatne przy antenach aktywnych, np. jak ta od SDR-Kits). Warunki te z powodzeniem spełnia RTL-SDR Blog V3 od twórców noszącego tę samą nazwę bloga poświęconego tematowi Software Defined Radio – radia zdefiniowanego programowo.

To nie wszystko. Konieczna jest podmiana sterownika na alternatywny; w innym wypadku tuner będzie działał jako odbiornik DVB-T. Podmieniamy go, korzystając z gotowej paczki dostępnej tu: zadig.akeo.ie i ŚCIŚLE trzymamy się wytycznych zawartych w opisie instalacji umieszczonym na stronie.

W wyniku tego procesu urządzenie zostaje zamontowane poprawnie w systemie. Przed nami jeszcze instalacja programu korzystającego z tunera SDR, np. SDRSharp, choć mogą to być inne programy. Zaletą powyższego jest jednak to, że dostępna jest do niego wtyczka, która dekoduje depesze z Inmarsatu, o nazwie Scytale-C. I tu ważna rzecz: szukamy wersji programu nie wyższej niż 1732. W nowszych autorów mocno poniosło, jeśli chodzi o eksperymentalne funkcje i dodatki, przez co praca programu jest niestabilna. Potrzebujemy też sterownika kabla wirtualnego, gdyż sygnał odbierany przez SDRSharp wysyłany jest pseudoprzewodem do innego softu, który demoduluje go i wyodrębnia właściwe dane. W internecie znaleźć można dwa najpopularniejsze pakiety: Virtual Audio Cable i VB-CABLE. W SDRSharp (lub innym programie) wyjście dźwięku ustawiamy na niby-głośnik, a wejście w demodulatorze na niby-mikrofon lub niby-wejście liniowe.

Oczywiście nie można zapomnieć o odpowiednim ustawieniu anteny. Najłatwiej to zrobić, używając jednej z aplikacji dostępnych w Google Play lub korzystając z kalkulatora. Wprowadzamy ręcznie pozycję satelity, czyli 25 stopni na wschód, oraz współrzędne geograficzne i wciskamy „Licz". Korygujemy ustawienie anteny według obliczonych parametrów. Jeśli korzystamy ze zmodyfikowanej anteny GPS umieszczonej bezpośrednio na środku czaszy lub po prostu na dużej płaskiej

metalowej powierzchni, dokonujemy poprawek, zwiększając nieco kąt elewacji.

To tyle. Najważniejsze za nami i musimy tylko wstroić się w konkretną częstotliwość. Na Alphasacie komunikaty dla statków emitowane są na częstotliwości 1537,1 MHz z szerokością filtra około 4 kHz w trybie USB (chodzi o modulację jednowstęgową, a nie interfejs), choć wystarczy nawet 2,8 kHz. Eksperymentalnie regulujemy pozycję anteny, tak by uzyskać jak najwyższy poziom sygnału w stosunku do szumu, czyli tak zwane SNR. Najważniejsze, by był większy lub równy 8. Na liście wtyczek zafajkowujemy aktywność Scytale-C i obserwujemy wizualizację zdemodulowanego sygnału. Zależy nam, by dwa kółka widoczne w jego okienku miały formę dwóch kropek (będą bardziej nieregularne, gdy sygnał nie będzie zbyt dobrej jakości).

Ze strony autora pobieramy wcześniej archiwum z QuickUI i wciskamy przycisk „Play". Wtyczka w SDRSharp przez protokół UDP będzie wysyłać zdemodulowane pakiety, które następnie zostaną zinterpretowane i odpowiednio wyświetlone.

I już możemy czytać :)

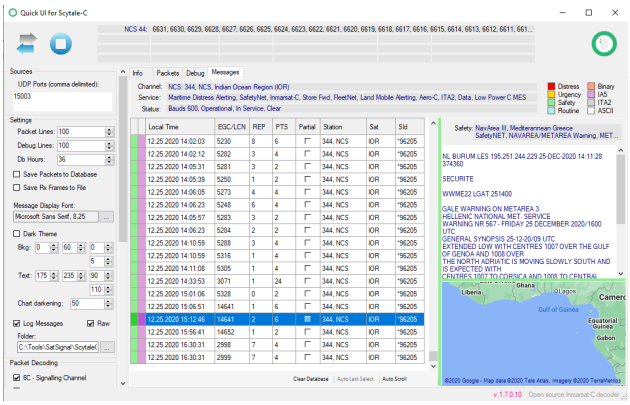

By odbierać Inmarsat, można skorzystać z innych typów odbiorników SDR. Sam posiadam taki produkcji brytyjskiej firmy SDRplay i jest to model RSPdx. Charakteryzuje się między innymi lepszym przetwornikiem ADC, sprzętowymi filtrami pasm i trzema niezależnymi wejściami sygnału. Jego producent oferuje świetny firmowy program o nazwie SDRuno, sprawdzający się bardzo dobrze ze słabymi sygnałami, takimi jak te z Inmarsatu. Można je oczyścić w locie, wzmocnić i odseparować od sąsiednich, nieco silniejszych. Scytale-C sprawdzi się i z nim, ale że do SDRuno nie ma jego wtyczki, to możemy skorzystać z jej zewnętrznej wersji o nazwie x64-ScytaleC-l403.zip. Uruchamiamy ją, ustawiamy wejście pseudomikrofonu i ustawiamy opcję „Transmit" w pozycji włączonej. Według podglądu sygnału dobieramy jeszcze tylko skrajne częstotliwości.

Scytale-C podczas dekodowania ramek

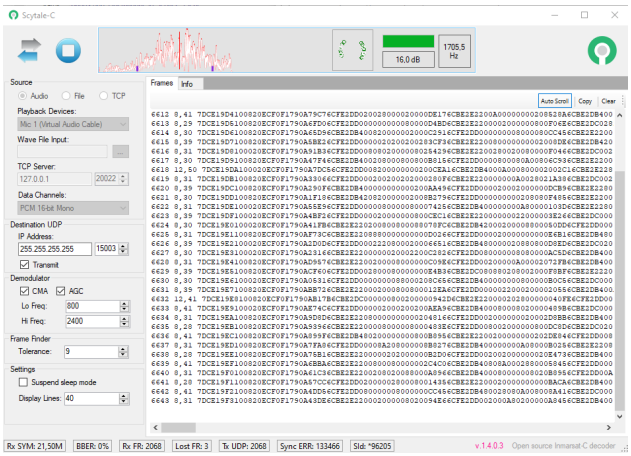

Istnieje jeszcze jeden program, który dekoduje komunikaty do przyjemnej postaci. Jest to STD-C Decoder od greckiego programisty o nicku Tekmanoid. Wyróżnia go to, że potrafi wizualizować współrzędne geograficzne, korzystając z serwisu OpenStreetMap. Nanosi skrajne pozycje, prezentuje zaznaczone obszary, wskazuje położenie platform wiertniczych i boi morskich. Jest płatny, ale dla jego możliwości warto wyłożyć 55 euro i wspomóc autora.

Alphasat jest satelitą nadającym komunikaty dla obszaru EMEA w ramach tzw. Safety NET. Jego oznaczenie wśród sąsiednich to IOR (Indian Ocean Region). Mimo tej nazwy wśród depesz typu EGC (Enhanced Group Call) przeznaczonych dla statków znaleźć można też takie z Zatoki Meksykańskiej, południowej Afryki, Wysp Brytyjskich, basenu Morza Śródziemnego i innych. Depesze mogą mieć różny status, od Safety, przez Urgent, na Distress skończywszy (nie licząc kilku innych). Przesyłane są informacje o platformach wiertniczych, pracach podwodnych (kładzenie

kabli telekomunikacyjnych, badania oceanograficzne itp.), zbiorcze raporty o atakach piratów czy zatonięciach statków, informacje o dryfujących łodziach z uchodźcami, biuletyny pogodowe, informacje dotyczące ćwiczeń wojskowych i wiele innych. Wiadomości mają określone ramy czasowe ważności; są też powtarzane, by odbiorcy ich nie przeoczyli. Sama transmisja nie należy do zbyt szybkich, bo pakiety przesyłane są z prędkością raptem 1200 bodów i w ciągu doby emitowanych jest ich równo 10 tysięcy.

Wśród EGC zawsze znajdzie się coś ciekawego

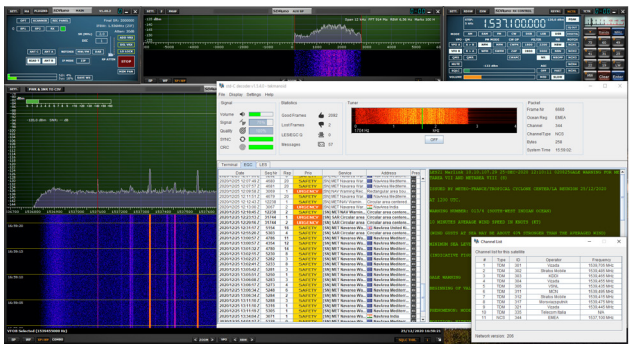

Trochę wyżej, od częstotliwości 1539,415 MHz począwszy, z dziewięciu stacji naziemnych emitowane są wiadomości TDM (Time Division Multiplexing) mające postać e-maili, faksów, SMS-ów i zwykłych wiadomości tekstowych (czasami kodowanych), niekiedy z załącznikami binarnymi. Przesyłane są z tą samą prędkością co EGC.

Podglądamy cudzą pocztę w TDM!

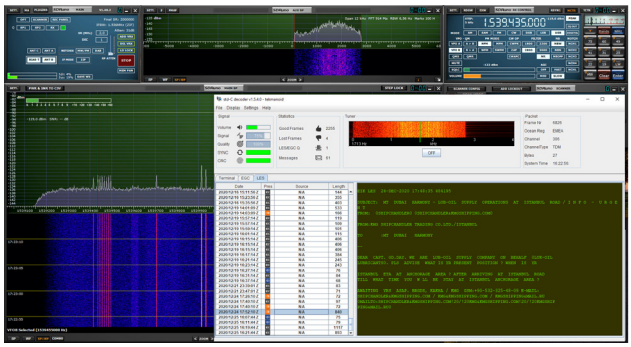

Miłośników lotnictwa ucieszy też możliwość przechwytywania danych z ruchu lotniczego – w postaci depesz ACARS (Aircraft Communications Addressing and Reporting System). Komunikaty wysyłane są wtedy, gdy samolot pozostaje poza zasięgiem stacji naziemnych w paśmie VHF (tzw. SatCom ACARS). Nie przyda nam się jednak tutaj ani STD-C Decoder, ani Scytale-C. Konieczne jest pobranie programu o nazwie JAERO, dzięki któremu można demodulować sygnały nadawane z prędkością 600, 1200, a nawet 10500 bodów w modulacji A-BPSK. Te ostatnie nie są zbyt mocne (w porównaniu do wolniejszych) i w przypadku antenki GPS poziom sygnału staje się „używalny" dopiero pod wieczór.

Z SatCom ACARS, w przeciwieństwie do zwykłych VHF ACARS, nie można odbierać sygnałów z samolotu, tylko komunikację stacji naziemnych z załogami samolotów. Oznacza to, że samoloty nie zgłaszają swojej pozycji (choć jest to możliwe w paśmie C). Zamiast tego odebrać można raporty pogodowe, plany lotów i tego typu rzeczy, a czasami trafi się nawet niespodzianka w postaci litanii kąśliwych uwag obsługi lotniska w Ankarze w stosunku do Cypryjczyków :)

Podobnie jak w VHF ACARS używana jest skrócona notacja w formacie METAR, na przykład: „METAR YSSY 040400Z 08012KT 9999 FEW040 SCT048 23/09 Q1024 FM0500 05012KT CAVOK =", co tu oznacza raport o pogodzie dla lotniska w Sydney. Istnieją wszelako witryny takie jak Flight Utilities, które mogą dekodować takie informacje i wyświetlać je w bardziej zrozumiałym formacie.

Przykładowe komunikaty meteo

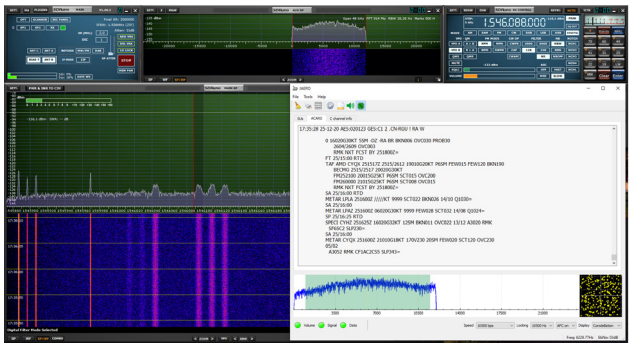

Z Inmarsatu odebrać można jeszcze jedną rzecz, mianowicie transmisje głosowe nadawane powyżej 1546 MHz na kanale Aero-H+. Nadawane są cyfrowo, z użyciem kodeka AMBE, z prędkością 8400 bodów, choć w użyciu bywa też starszy LPC z 9600 i 21 000 bodów. Zwiastuny tych

transmisji pojawiają się wśród depesz ACARS, co pozwala na ustawienie konkretnej częstotliwości w odpowiednim czasie. Podczas transmisji nadawany jest identyfikator samolotu w postaci numeru ICAO, nadanego przez Organizację Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego, widoczny jako AES. Na stronach typu Flight Radar 24 czy ADS-B Exchange ten numer można wyszukać i uzyskać jeszcze więcej informacji. Transmitowany jest też ze wcześniej wspomnianymi depeszami SatCom ACARS.

Szpiegujemy pilotów :)

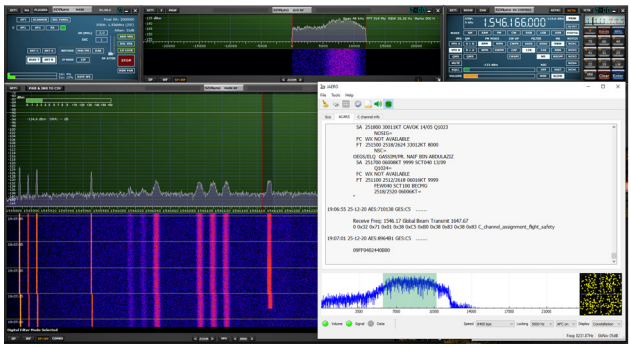

Inmarsat jest ciekawym satelitą dla radioamatorów, choć duża część transmisji okazuje się niedostępna, bo niemożliwe jest jej dekodowanie. Owszem, istnieje oprogramowanie, które to potrafi, ale jego koszt wykracza poza rozsądne kwoty :) To m.in. Wavecom W-CODE i Krypto500 oraz Krypto1000, kosztujące 7000 euro, a nawet więcej. Myślę jednak, że wśród tych dostępnych można znaleźć wiele ciekawych (i bardzo świeżych) informacji. Koszt sprzętu nie jest wysoki, oprogramowanie w większości darmowe, a efekty są bardzo satysfakcjonujące. :)

Materiał jest w całości mojego autorstwa, poza zdjęciami anten patch konstrukcji różnej.

➡ **WOJCIECH „VOY" PASIECZNIK**
kontakt: http://ftp.pigwa.net, voy@pigwa.net.

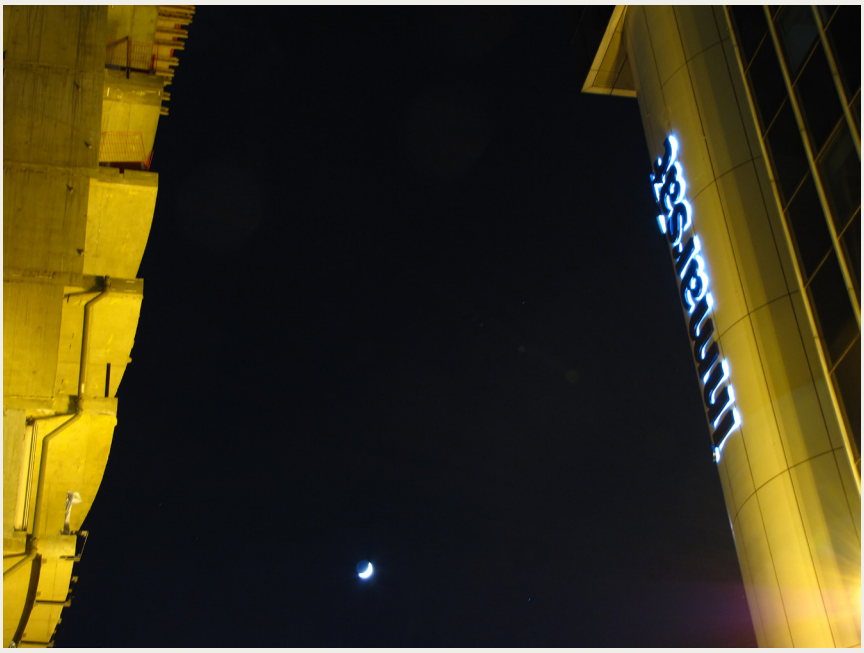

Zdjęcie zrobione przez Złego Majora Witka przedstawia siedzibę Inmarsatu w Londynie i satelitę Ziemi (naturalnego) ;)

Dzień Orła

13 sierpnia 1940 roku Luftwaffe rozpoczęła powietrzną ofensywę przeciwko siłom powietrznym Wielkiej Brytanii. Operacja nosiła buńczuczny kryptonim Adlerangriff, czyli „Atak orła", zaś jej pierwszy dzień nazwano Adlertag – „Dzień Orła".

Stół taktyczny, RAF Uxbridge.
Zdjęcie: Daniel Stirland

PISZE ➡ **ZŁY MAJOR WITEK**

Celem Adlerangriff miało być zniszczenie RAF Fighter Command, a dzięki temu – osiągnięcie przez Luftwaffe przewagi w powietrzu przed inwazją na Wielką Brytanię (wstępnie planowaną na wrzesień 1940 roku). Dowódca niemieckich sił powietrznych, marszałek Hermann Göring, zapewnił Hitlera, że jest w stanie tego dokonać w ciągu kilku dni, no, góra tygodni – a jeżeli panowanie w powietrzu nie rzuci Anglii na kolana, to Luftwaffe osłoni flotę inwazyjną przed Royal Navy.

Niestety dla nazistów, plan ten opierał się na bardzo niedokładnych informacjach wywiadowczych. Przed rozpoczęciem Adlerangriff Niemcy drastycznie niedoszacowali brytyjską miesięczną produkcję myśliwców (oceniali ją na 200–300 sztuk, podczas gdy Anglicy produkowali 500), źle rozpoznali lotniska dywizjonów myśliwskich (planując zamiast tego ataki na lotniska bombowców albo lotnictwa morskiego) oraz całkowicie zignorowali radary – co było kardynalnym błędem.

Prowadzone od 1935 roku prace nad radiowym wykrywaniem samolotów zaowocowały najpierw stworzeniem działającego zestawu radarowego, potem rozbudową sieci stacji radarowych

Smugi kondensacyjne po bitwie powietrznej, 1940 rok. Zdjęcie: Imperial War Museum w Londynie, via Wikipedia

Luftwaffe uznała stacje radarowe za zbyt trudne do zniszczenia i zaprzestała prób. Była to, łagodnie mówiąc, nie najlepsza decyzja.

Chain Home, a w końcu stworzeniem Systemu Dowdinga: pierwszego na świecie zintegrowanego systemu obrony przeciwlotniczej. Dane napływające z ponad 20 stacji radarowych Chain Home spływały w jedno miejsce – do bazy RAF Uxbridge, dziś w granicach Londynu. Tam były integrowane, obrazowane na stole taktycznym, a następnie rozsyłane do dowództw poszczególnych obszarów obrony powietrznej, z których rozkazy płynęły do baz myśliwców i baterii przeciwlotniczych.

Na początku 1939 roku System Dowdinga był w stanie wykryć nadlatujące bombowce, określając ich położenie, wysokość i kurs jeszcze nad terytorium Francji. Dawało to wystarczająco dużo czasu, aby poderwać w powietrze i precyzyjnie naprowadzić myśliwce.

Poranek 13 sierpnia nie sprzyjał lataniu, dlatego poranne misje zostały odwołane. Jednak wiadomość nie dotarła do wszystkich jednostek Luftwaffe, samoloty więc wystartowały – czasem bombowce bez osłony myśliwskiej, czasami zaś sama osłona, bez bombowców, którym miała towarzyszyć. Mimo zamieszania zgromadzone siły były pokaźne: prawie 400 samolotów, których celem były lotniska RAF-u i stacje radarowe. Przeciwko nim Fighter Command wystawiła 120 myśliwców. Większość grup bombowych została przechwycona przed dotarciem nad cele, związana walką i rozproszona; niektóre cele zostały zbombardowane, ale straty były albo minimalne, albo nie wpłynęły na zdolność bojową myśliwców (ponieważ zbombardowano, na przykład, bazę w Eastchurch, która należała do lotnictwa morskiego).

Jednym z celów bombowców były stacje radarowe Chain Home. Okazały się trudne do uszkodzenia – składały się z niewielkich domków ze sprzętem elektronicznym i ażurowych masztów radarów – toteż po kilkunastu atakach w ciągu najbliższych dni Luftwaffe uznała je za zbyt trudne do zniszczenia i zaprzestała prób. Była to, łagodnie mówiąc, nie najlepsza decyzja.

Luftwaffe ponowiła ataki po południu, z podobnym brakiem sukcesów: z około 250 samolotów większość albo nie odnalazła celów – pogoda nadal była marna – albo została przechwycona i rozproszona przez myśliwce. Jedynym mniej więcej sukcesem było skuteczne zbombardowanie fabryki samolotów w Rochester – ale była to fabryka bombowców, więc zdolność bojowa Fighter Command się nie zmieniła. Na zakończenie „Dnia Orła" Luftwaffe wysłała nocny nalot na fabrykę myśliwców w Birmingham, ale cel znalazły tylko cztery bombowce, trafiając w teren fabryki łącznie pięcioma bombami.

Za wszystkie te niecelne, strategicznie nietrafione i ogólnie rzecz biorąc niespecjalnie udane naloty Luftwaffe zapłaciła dosyć słono – podczas Adlertag utraciła około 90 samolotów (zniszczonych i ciężko uszkodzonych) oraz około 200 lotników. Fighter Command straciła 14 myśliwców i trzech pilotów, żadne z lotnisk nie zostało zniszczone ani nawet wyłączone z akcji.

Operacja Adlerangriff trwała przez resztę sierpnia i cały wrzesień. Przez cały ten czas Luftwaffe nie wypracowała spójnego planu poradzenia sobie z myśliwcami, przeskakując od strategicznego bombardowania do ataków na lotniska, z nich do ataków na fabryki samolotów, a z nich z kolei – do nalotów na sieć transportu i dystrybucji. Wywiad Luftwaffe nie był też w stanie skutecznie odróżnić baz myśliwców od baz bombowych czy lotnictwa morskiego oraz pozostał kompletnie nieświadomy kluczowej roli, jaką odgrywały stacje radarowe.

Adlertag – a także następujące po nim Battle of Britain Day i The Hardest Day – były spektakularnymi i krwawymi bitwami, pierwszymi prawdziwymi bitwami powietrznymi historii: podczas Battle of Britain Day w całodziennych walkach starło się 1500 samolotów. Mimo zaangażowania ogromnych sił i środków Luftwaffe poniosła porażkę: Fighter Command, wspierane przez najlepszy na świecie system wykrywania i naprowadzania, zasilane w nowoczesne myśliwce i walczące nad własną ziemią, utrzymało niekwestionowaną przewagę w powietrzu.

Inwazja Wysp Brytyjskich została zawieszona, a później odwołana, Hitler zaś postanowił pokonać Wielką Brytanię, łamiąc jej morale poprzez strategiczne bombardowania miast – w kampanii lotniczej znanej jako Blitz.

Więcej:

- Absolutnie fascynująca historia radarowego wczesnego ostrzegania: Chain Home
- Dzień Orła z rozbiciem na godziny i jednostki: Adlertag
- 15 i 18 sierpnia: Battle of Britain Day oraz The Hardest Day

Tekst poprzednio ukazał się w serwisie re/publikacja, gdzie ZMW publikuje ciekawostki.

➡ ZŁY MAJOR WITEK
jest autorem idee fixe (gra fabularna), wrzutni nocnej (zbiór opowiadań) oraz co lepszych kawałków (kwiatki z sesji RPG), a także częstym gościem audycji podkastu Nerdy Nocą, gdzie zabiera nas m.in. na wycieczki po historii i kosmosie.

Gunpla is freedom!

Gunpla to japoński skrót od „Gundam plastic model". No ale w takim razie – co to jest ten cały Gundam?

PISZE ➡ **YACOOB**

1/144 HG Moon Gundam clear ver.

Anime „Mobile Suit Gundam" to japoński kulturowy odpowiednik „Gwiezdnych wojen". Wszyscy znają główne postacie, potrafią zanucić piosenkę z czołówki, a w zeszłym roku w Jokohamie zbudowano już trzeci z kolei model tytułowego Gundama RX-78-2 w skali 1/1. Pierwsze anime z 1979 roku zapoczątkowało całą franczyzę, w ramach której bardzo szybko pojawiły się na rynku modele do samodzielnego montażu. Nie wymagają one użycia kleju ani farb – jedyne narzędzie potrzebne do złożenia modelu to cążki do plastiku o płaskim ostrzu. Czterdzieści lat franczyzy przyniosło gigantyczną liczbę mechów, a wypuszczane modele są z roku na rok coraz bardziej szczegółowe.

1/100 MG RX-78-2

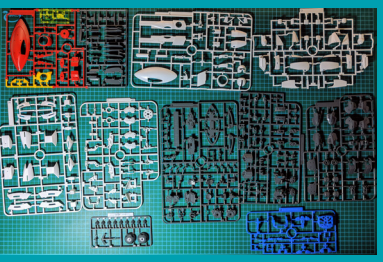
Części składowe prosto z pudełka modelu 1/100 MG Turn A Gundam

1/144 RG GAT-X105 Aile Strike oraz 1/144 RG FX-550 Skygrasper jako wsparcie z powietrza

1/144 RG Exia Repair

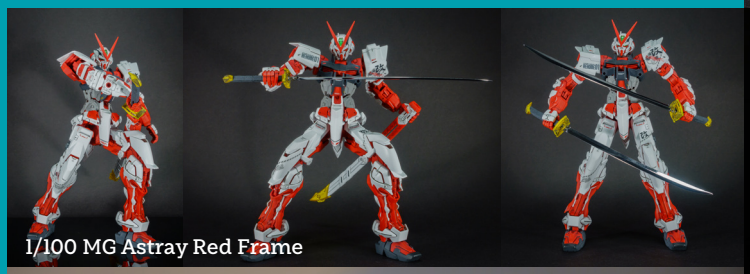
1/100 MG Astray Red Frame

Lewy: 1/144 RG Exia Repair, prawy: 1/144 HG Exia

1/144 RG RX-78-2

1/144 RG RX-78-2

1/60 PG 00 Gundam 7S/G clear ver.

1/144 RG RX-78-2

1/144 HG Zaku I Thunderbolt ver.

1/144 RG GAT-X105 Aile Strike

1/144 RG ZGMF-X10A Freedom Gundam special coating ver.

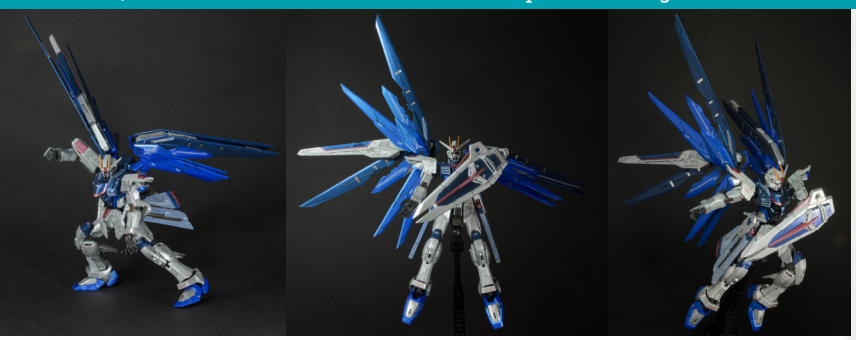

Więcej:

- Polski dystrybutor: www.gundampolska.pl
- Subreddit: /r/gunpla
- Strona autora: gcu.tactical-grace.net/everything
- Jak to się je?
- Nieoficjalny katalog większości seryjnie wydanych modeli.

Gunpla przyszła do mnie w postaci reklamy wycelowanej prosto w moje nerdyckie gusta: krótki klip pokazywał bogactwa wewnętrznego szkieletu robociej nogi oraz demonstrował powolnie przesuwające się miniaturowe siłowniki i części zewnętrznego pancerza. Złożyłem pierwszy model, obejrzałem parę odcinków i wsiąkłem po uszy. W tej chwili składanie gunpli jest dla mnie swoistą medytacją manualną – dwie godziny z pudełkiem plastiku owocuje humanoidalnym robotem i odprężonym człowiekiem.

➡ **YACOOB**
składa małe plastikowe roboty dla odprężenia, efekty wrzuca na gcu.tactical-grace.net.

Makroświat

Bo od zawsze lubiłam zaglądać kwiatkom w... pręcik.

PREZENTUJE ➡ **DOROTA WILCZEK**

Panasonic Lumix G7W Xiaoyi 42,5 1:1,8 + Nikkor 50 1:1,8D; ISO 400; 1/50s

Na zdjęciach, jak można się zorientować, nie kwiatki (bo zima), ale coś, co mi od długiego czasu zalega na stole, pod stołem, obok stołu i pod fotelem w ilościach hurtowych – włóczka :)

W roli podglądacza nowo nabyty Panasonic Lumix G7W z podpiętym Xiaoyi 42,5 1:1,8 i dołożonym na odwyrtkę Nikkorem 50 1:1,8D.

Panasonic Lumix G7W Xiaoyi 42,5 1:1,8 + Nikkor 50 1:1,8D; ISO 400; 1/50s

Panasonic Lumix G7W Xiaoyi 42,5 1:1,8 + Nikkor 50 1:1,8D; ISO 400; 1/125s

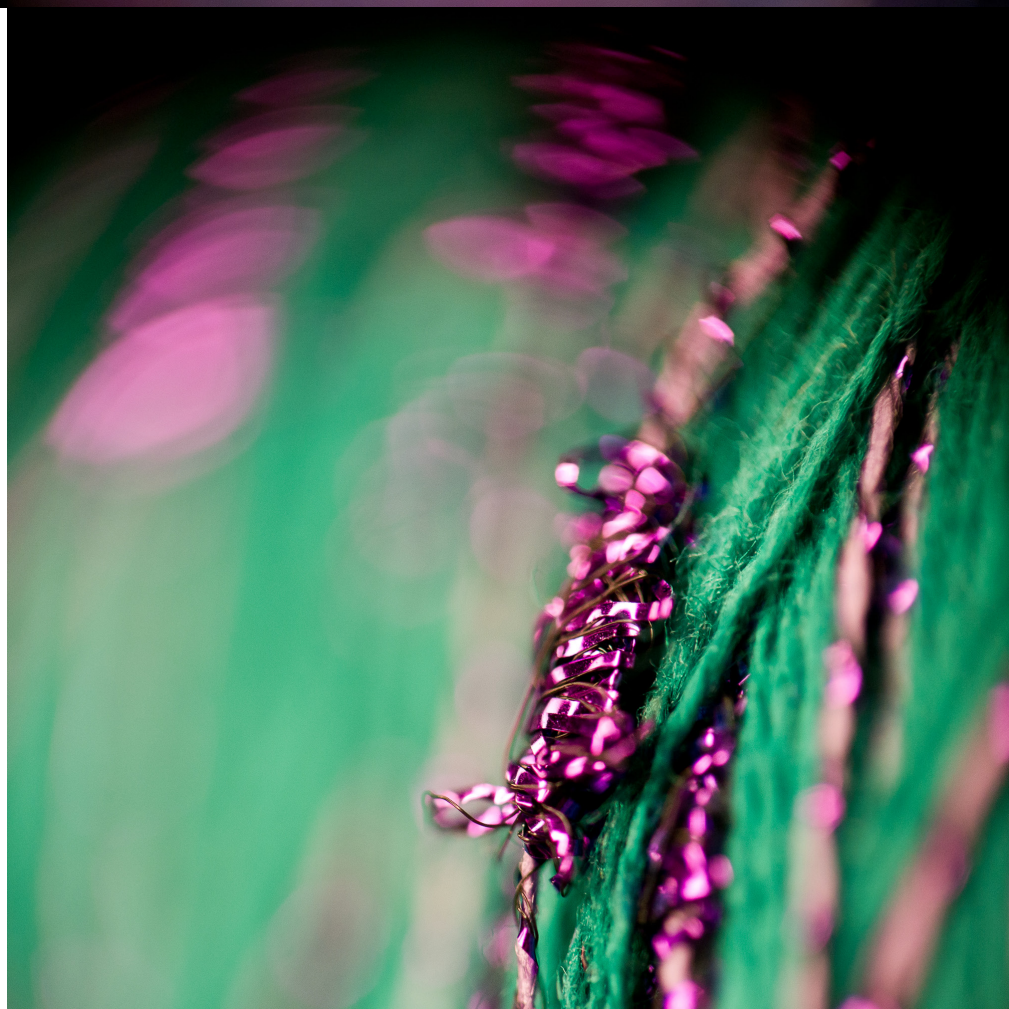

➡ **DOROTA WILCZEK**
czyli Dottek. Eksgamerka, obecnie casual gamer. Szydełkuje, robi na drutach, uczy się tkać. Eksfotografka, czasem graficzka. Z gracją czołgu i subtelnością bazooki próbuje kontrolować chaos. Współprowadzi firmę, a po godzinach matkuje dwóm kotom.

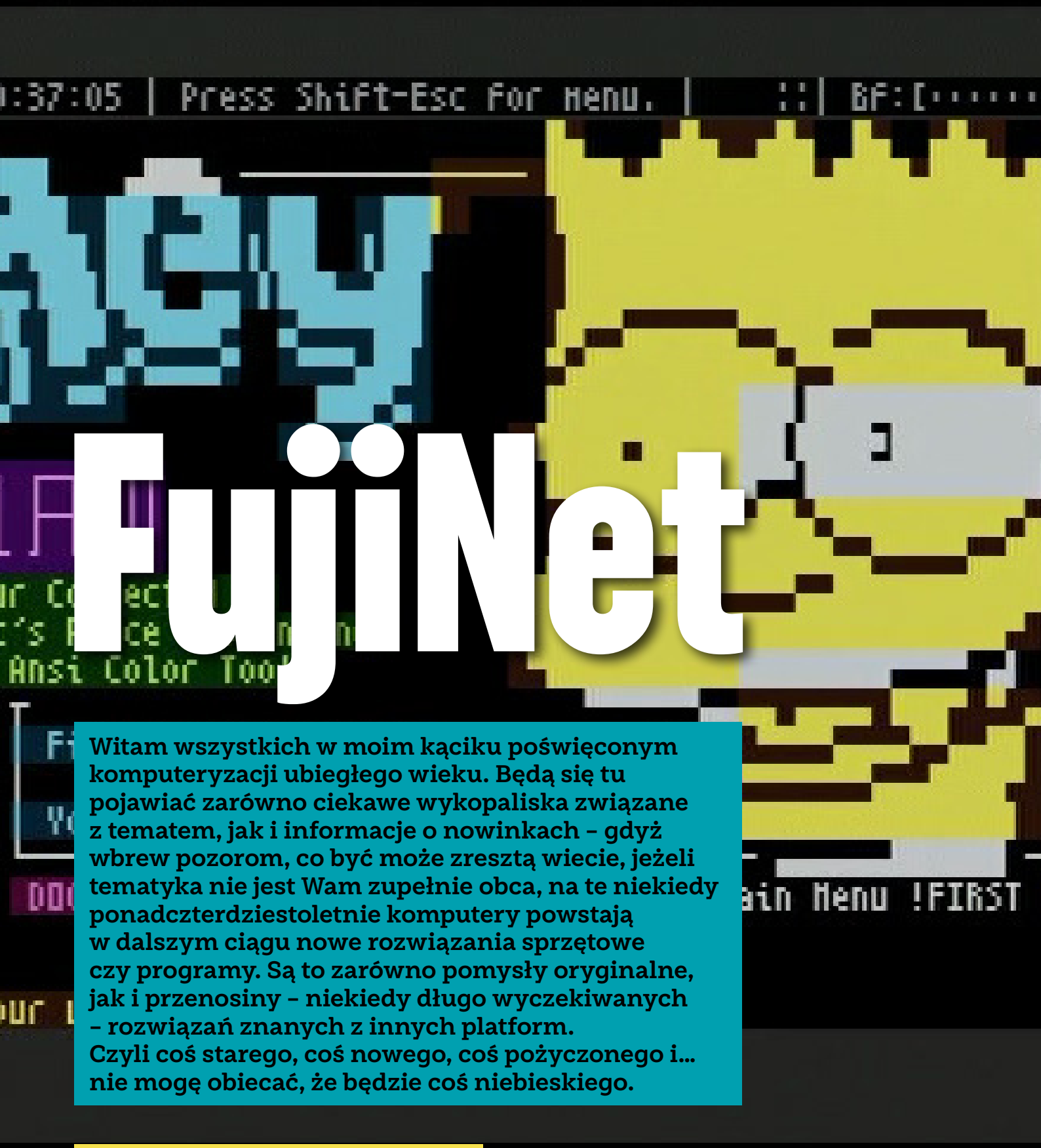

FujiNet

Witam wszystkich w moim kąciku poświęconym komputeryzacji ubiegłego wieku. Będą się tu pojawiać zarówno ciekawe wykopaliska związane z tematem, jak i informacje o nowinkach – gdyż wbrew pozorom, co być może zresztą wiecie, jeżeli tematyka nie jest Wam zupełnie obca, na te niekiedy ponadczterdziestoletnie komputery powstają w dalszym ciągu nowe rozwiązania sprzętowe czy programy. Są to zarówno pomysły oryginalne, jak i przenosiny – niekiedy długo wyczekiwanych – rozwiązań znanych z innych platform. Czyli coś starego, coś nowego, coś pożyczonego i... nie mogę obiecać, że będzie coś niebieskiego.

PRZEDSTAWIA ➡ **MACIEJ „KRAP" GRZESZCZUK**

Fragment ekranu logowania do BBS, przedsionka sieci wczesnych lat 90.

Trzy wersje wzornicze obudowy

Interfejs użytkownika konfiguratora głównego FujiNet

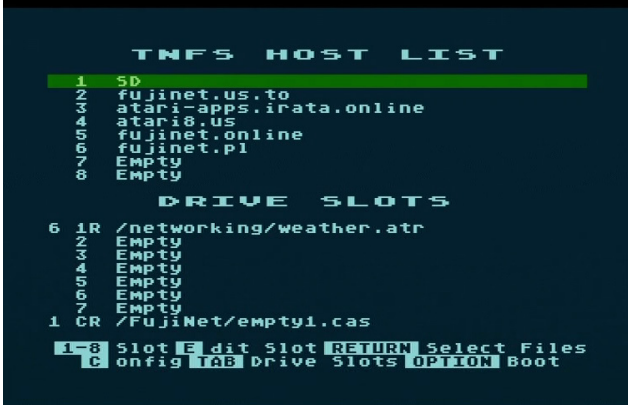

Dziś opowiem o FujiNet – małym, ale bardzo funkcjonalnym urządzeniu peryferyjnym przeznaczonym dla ośmiobitowej serii komputerów Atari. Joe Honold (znany jako „mozzwald") i Thomas Cherryhomes zbudowali pierwsze prototypy lekko ponad rok temu, zapraszając do współpracy innych sprzętowców, programistów i testerów w ramach projektu o otwartej architekturze. W momencie, kiedy piszę ten tekst, na kanale komunikatora poświęconym rozwojowi są 134 osoby, ostatnia wersja oprogramowania pojawiła się 8 godzin temu, a tuż przed świętami opublikowano nową rewizję płytki drukowanej. Projekt zdecydowanie żyje. Szacuję ostrożnie, że działających egzemplarzy urządzenia jest na świecie ponad 1000, a to dopiero początek.

Czym więc jest ta nowinka i co potrafi? Jest urządzeniem peryferyjnym, podłączanym do magistrali szeregowej ośmiobitowego Atari i odtwarzającym działanie urządzeń zwyczajowo do niej podpinanych. Magistrala szeregowa to, w telegraficznym skrócie, coś bardzo zbliżonego konceptem do USB w nowoczesnych komputerach. Porównanie nie jest zresztą tak abstrakcyjne, jak by się na pierwszy rzut oka wydawało, gdyż jeden z inżynierów pracujących nad USB, Joe Decuir, był wcześniej zatrudniony w Atari, gdzie opracował standard Atari SIO. Wracając jednak do samego złącza – podpinało się tam historycznie mniej więcej to samo, co obecnie podpinamy do USB, czyli: pamięci masowe (magnetofony bądź stacje dysków, z których odczytywaliśmy programy i na które zapisywaliśmy nasze dokumenty), drukarki (ich funkcja nie zmieniła się zbytnio, za to przeważnie są teraz znacznie mniej hałaśliwe), urządzenia sieciowe (najczęściej modemy) i inne peryferia.

Takich emulatorów w historii było już wiele. Mamy urządzenia, które udają magnetofony, inne, które działają jako stacje dysków, są projekty łączące kilka komputerów Atari w małe sieci lokalne czy też dające w ograniczonym zakresie dostęp do internetu. Tym, co czyni FujiNet unikalnym, jest koncept, w którym zasoby informacji, z których korzysta komputer do wczytywania programów do swojej pamięci – takie jak obrazy dyskietek czy zapisy kaset magnetofonowych – są umieszczone nie na lokalnej karcie pamięci, ale na serwerze w dowolnym miejscu

Nawigacja po dostępnych zasobach nie musi być wizualnie nieatrakcyjna. Menu BBS-ów często ozdobione były kolorową grafiką zbudowaną ze znaków trybu tekstowego

sieci. To oznacza, że możemy wczytać program z kasety, która „leży" w Chile (nie przesadzam, tzw. małe Atari było tam bardzo popularne i ma cały czas aktywną grupę fanów oraz serwer TNFS na potrzeby FujiNet). W przypadku obrazów dyskietek wspierany jest również format ATX, przechowujący informacje o niestandardowej strukturze danych nośnika, co akurat dla mnie – z zamiłowania archiwizującego dane ze starych dyskietek i kaset z zachowaniem oryginalnych, czasem bardzo ciekawych sposobów zabezpieczania programów przed kopiowaniem – jest dodatkowo bardzo istotne.

Inna, bardzo rozczulająca mnie funkcja urządzenia, z którą nie spotkałem się do tej pory w innych rozwiązaniach sprzętowych, to możliwość zastosowania go jako emulatora drukarki. Używamy naszego ulubionego oprogramowania, jak Print Shop czy Newsroom, bądź też zlecamy wydruk np. bezpośrednio z BASIC-a, korzystając ze standardowych sterowników, a wynik pojawia się do odbioru w formie dokumentu w formacie PDF lub HTML (z zagnieżdżonymi w nim systemowymi fontami Atari, więc na wydruku mamy

Aplikacja COVID, autorstwa Daniela „dely" Koźmińskiego, prezentująca bieżące statystyki nowych przypadków COVID-19. Poniżej wydruk tabeli nowych przypadków zachorowań bezpośrednio z programu COVID

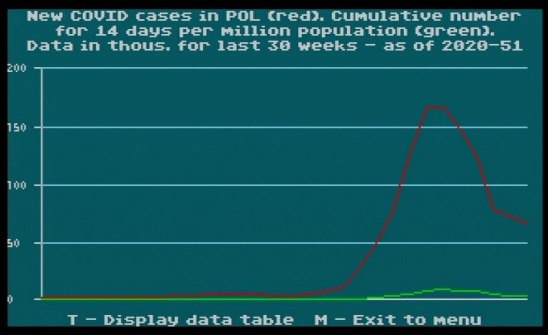

New COVID-19 cases in POL
As of 2020-51

week	cases	week	cases
2020-22	2460	2020-37	3328
2020-23	2775	2020-38	5088
2020-24	2831	2020-39	8090
2020-25	2539	2020-40	10810
2020-26	1976	2020-41	27676
2020-27	2043	2020-42	49950
2020-28	1941	2020-43	77922
2020-29	2213	2020-44	126214
2020-30	2961	2020-45	166523
2020-31	3829	2020-46	166547
2020-32	4897	2020-47	148359
2020-33	4893	2020-48	123744
2020-34	5078	2020-49	78374
2020-35	5108	2020-50	72227
2020-36	3954	2020-51	67024

Source: ECDC Europe.
Generated from Covid App with Atari.

również znaki semigrafiki – tak, takie same jak te, które w książkach z lat 80. autorzy dorysowywali na wydrukach-matkach pisakiem). Na wydruku symulowane są również artefakty drukarki igłowej, efekt końcowy wygląda bardzo realistycznie.

Pewną ciekawostką – o moim zdaniem umiarkowanym zastosowaniu – jest implementacja syntezatora mowy S.A.M. dostępnego dla programisty jako drukarka systemowa, co nie wymaga od niego praktycznie żadnych umiejętności z tym związanych. W Atari BASIC na przykład, aby program przemówił, wystarczą takie dwie linijki kodu:

```
OPEN #1,8,0,"P1:"
PRINT #1;"HELLO WORLD!"
```

Głównym celem powstania FujiNetu jest jednakże umożliwienie użytkownikowi komputera Atari łączenia się z siecią – i ten cel realizowany jest na dwa sposoby. Pierwszy z nich to emulacja modemu podłączonego po porcie szeregowym, dzięki któremu z wykorzystaniem istniejących programów terminalowych, takich jak na przykład Ice-T XE, możemy poczuć się trochę jak w 1991 roku i zajrzeć do kilku funkcjonujących jeszcze BBS-ów dostępnych w sieci. Cel sentymentalny – zrealizowany. Bardziej praktyczny natomiast jest sposób drugi, w ramach którego programiście udostępniane jest nowe urządzenie systemowe N:, które umożliwia, praktycznie pojedynczymi linijkami kodu, nawiązywanie i obsługę połączeń zarówno na poziomie protokołów transportowych TCP czy UDP, jak też wyższopoziomowych, jak HTTP czy FTP. To otwiera możliwości do tworzenia aplikacji wykorzystujących istniejące zasoby sieciowe – przykładami są aplikacje prezentujące na bieżąco wykresy nowych przypadków COVID-19 na podstawie źródeł danych dostępnych w sieci czy podające bieżącą pogodę, ale również nowych gier, w których rozgrywka odbywać się będzie pomiędzy oddalonymi komputerami, połączonymi ze sobą za pomocą internetu. Rosnąca baza użytkowników i prostota oprogramowania zagadnień sieciowych dają nadzieję, że tym razem faktycznie się to uda.

Aplikacja Weather, autorstwa Wojciecha „bocianu" Bociańskiego, prezentująca bieżącą pogodę

Zespół odpowiedzialny za projekt zadbał też o estetykę - dostępne są trzy wersje obudowy, dopasowane kolorem i stylistyką do trzech głównych linii wzorniczych komputerów Atari: rzadko u nas spotykane 400/800, seria XL (jej najczęstszy przedstawiciel to model 800XL, z gniazdem cartridge'a przypominającym popielniczkę) i najpopularniejsza, szara seria XE z charakterystycznymi, skośnymi nacięciami wentylacyjnymi.

Podsumowując, jeżeli FujiNet jeszcze nie znalazł się na szczycie rankingu najbardziej przydatnych rozszerzeń do ośmiobitowego Atari, to jest to tylko kwestią czasu. Kilka kwestii wymaga dopracowania – jak chociażby obsługa magnetofonu lub parę drobiazgów w interfejsie użytkownika czy dokumentacji, ale projekt jest cały czas rozwijany i serdecznie zachęcam do tego, żeby przyglądać mu się z bliska.

Więcej:

- Nagranie prezentacji projektu z tegorocznej imprezy Vintage Computer Festival East
- Strona główna projektu FujiNet
- Strona projektu na GitHub

➡ **MACIEJ „KRAP" GRZESZCZUK**
od 1987 roku wkręcony w komputery, od pierwszego Atari 65XE, przez modemy, sieć FidoNet czy wczesny internet. W ramach Fundacji Historii Komputerów Domowych stara się zabezpieczyć jak najwięcej okruchów polskiej historii związanej z początkami komputeryzacji i łączności sieciowej, zanim pamięć o nich zaginie lub dosłownie spoczną na śmietniku.

Jajeczka w 302 liniach Lua

Napiszę grę. Problem braku pomysłu i jakości rozwiążę w iście holiłudzkim stylu. Zrobię to, co już było, ale gorzej!

KLEPIE ➡ **EMIL OPPELN-BRONIKOWSKI**

W mojej przygodzie z programowaniem jest wiele rzeczy, których nie próbowałem. Umościłem się wygodnie na dnie stosu i ciężko jest mi wygrzebać się z tego barłogu, gdzie ciepło, a wszystkie kąty są znane. Cierpię też na przypadłość, która trapi wielu programistów: mój zmysł estetyczny jest przytłumiony. Jeśli coś wygląda paskudnie, ale działa doskonale, to znaczy, że jest piękne. Dlatego też podchodziłem do programowania gier z wielką nieufnością. Trzeba piekielnie się napracować, żeby coś dobrze wyglądało. Żeby osoba grająca wiedziała, co dzieje się na ekranie.

Do tego trzeba mieć pomysł. Najlepiej dobry pomysł.

Dlatego latami czytałem sobie rozmaite „jak to się robi", ale nigdy nawet nie wyszedłem poza kompilację załączonych przykładów do tej czy innej biblioteki, mądre potrząsanie głową i mówienie „Aha!".

Kilka dni temu zamknąłem dzień w pracy straszną awanturą. Jedną z tych, które jak śniegowa kula zaczynają się gdzieś od płatka, a kończą się groźbą rozpłaszczenia nas wszystkich. Potrzebowałem zająć się czymś do końca dnia, żeby nie usiąść i nie zacząć komponować e-maila z kategorii „jak ja to widzę".

Potrzebowałem czegoś absorbującego, więc najlepiej czegoś, czego nigdy nie robiłem. Wiem, napiszę grę. Problem braku pomysłu i jakości rozwiązałem w iście holiłudzkim stylu. Zrobię to, co już było, ale gorzej!

Mój wybór padł na kultową grę elektroniczną zwaną kolokwialnie „jajeczkami". Zasady są proste, grafika jest prosta. Powinienem sobie dać radę. W temacie narzędzi padło na Luę i Love2d. Nie znałem jednego ani drugiego, więc idealnie wpasowały się w mój plan zajęcia głowy nowymi problemami.

Po godzinie udało mi się uzyskać kontrolę nad środowiskiem na tyle, że gdy patrzyłem na biały prostokąt, rozpierała mnie duma i wiara we własne możliwości. Postanowiłem udokumentować ten cały proces i podzielić się nim z Wami. Na początku wymyśliłem, że będzie to doskonały tekst dla początkujących, ale im bardziej piętrzyły się problemy, tym bardziej traciłem wiarę, że dam radę.

Powstały więc zapiski chaotyczne, które ani nie uczą, ani nie tłumaczą. Przynajmniej powstrzyma mnie to od napisania „Re: jak ja to widzę".

„Jajeczka"

Wpierw o samej grze. „Jajeczka" to klon Mickey Mouse, gry elektronicznej wydanej w 1984 roku przez Nintendo. Postacie zostały wymienione na mniej reakcyjne maskotki z kreskówki „Ну, погоди!". Wcielamy się w postać Wilka, który w bajce przedstawiany jest jako bumelant i opryszek. Tym razem zajmuje się pracą na kurzej fermie (być może w wyniku resocjalizacji).

Na czterech grzędach siedzą cztery kury, które znoszą jajka. Te, pod wpływem grawitacji, toczą się rynnami w dół. Naszym zadaniem jest złapanie ich do koszyka. Należy nadmienić, że kury te są niesamowicie produktywne, Trofim byłby dumny.

Wyświetlacz to segmentowane LCD. Oznacza to, że wszystkie możliwe elementy są predefiniowane, a ruch symulowany jest przez „zapalanie" odpowiednich kształtów. Znacząco ułatwia mi to kradzież, gdyż nie muszę się przejmować skomplikowanymi fazami ruchu.

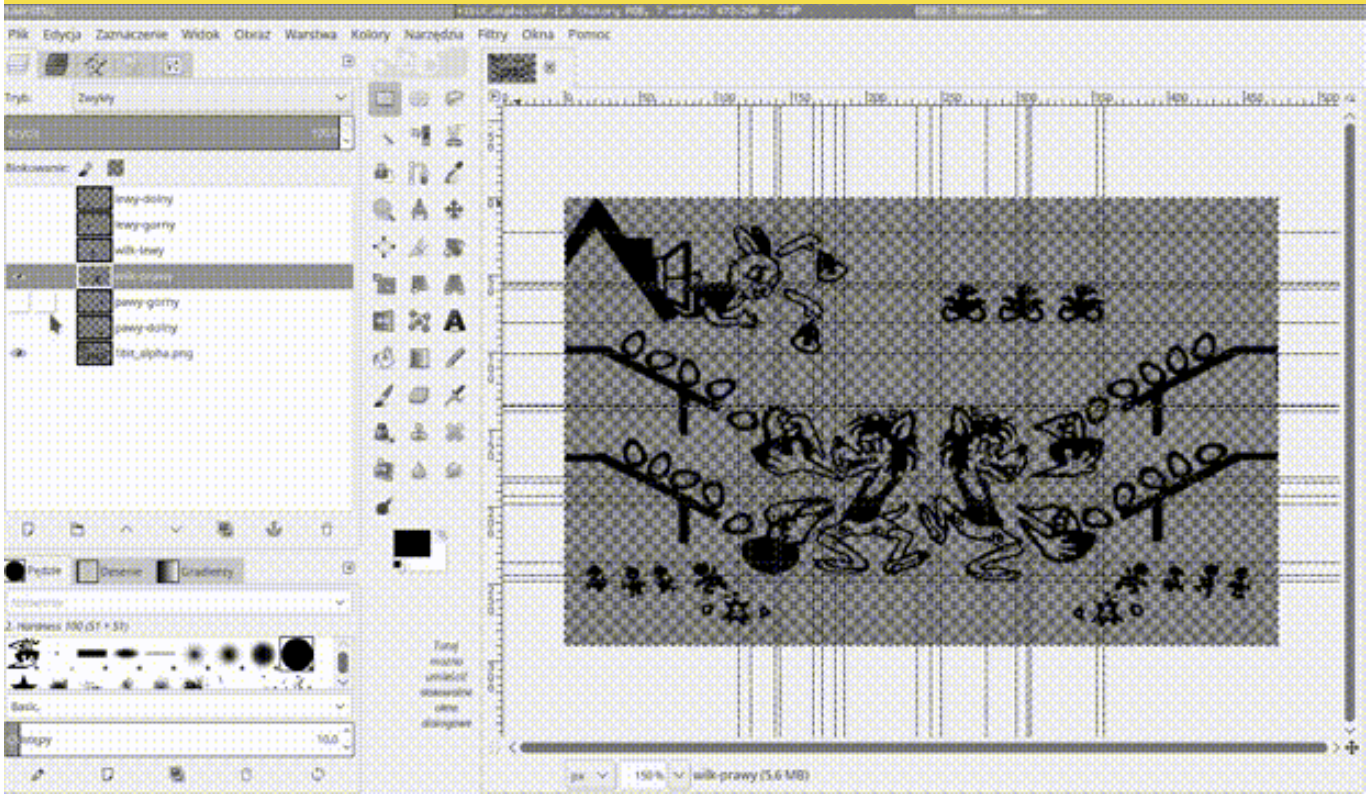

Postanowiłem wyciąć wszystkie elementy, które pozostają w ruchu, i poukładać je samodzielnie w grze.

Mamy więc:

1. Wilka patrzącego w lewo i prawo;
2. ręce Wilka sięgające do dolnej i górnej grzędy dla lewego i prawego kierunku;
3. pięć faz animacji toczącego się jajka dla każdej rynienki;
4. cztery fazy animacji „stłuczonego jajka";
5. wskaźnik liczby „stłuczonych jajek".

To powinno wystarczyć w części graficznej. Teraz pozostaje zebrać całość do kupy. Jednak zanim zaczniemy, kilka słów dla osób, które nigdy nie interesowały się, jak to się dzieje, że rzeczy się ruszają i są w odpowiednich miejscach. Amatorsko doświadczeni w sztuce programowania będą wiedzieć, że te definicje nie są idealne, ale umówmy się, że neofita tłumaczy ludziom krok za nim.

Ekran

Możecie myśleć o ekranie komputera jak o kartce papieru w kratkę, gdzie każdy segment to pojedynczy piksel, który można zaświecić na dowolny kolor z palety dostępnej dla komputera. Pozycję na ekranie wyrażamy jako koordynaty X i Y.

W przypadku Love2d lewy górny róg ekranu znajduje się pod pozycją (0, 0). Zatem (10, 0) znaczy 11 pikseli (liczymy od zera) w prawo od brzegu w pierwszej linii. Idąc dalej tym tropem, (4, 5) znajdzie się w szóstej linii od góry, pięć pikseli od lewego brzegu ekranu.

W większości przypadków nie będziemy rysować grafiki piksel po pikselu. Zwykle wczytujemy gotowy element graficzny, który umieszczamy na naszej płaszczyźnie. Sam wczytany obiekt ma własną, wewnętrzną siatkę koordynat, ale umieszczamy go, wskazując miejsce, gdzie znajdzie się jego (0, 0).

Na przykład jeśli chcemy wczytać niezmiernie estetyczną żółtą twarz i umieścić ją gdzieś na ekranie, powiedzmy, że pod (9, 5), to wyląduje tam lewy górny bok reprezentowany wewnętrznie przez (0, 0).

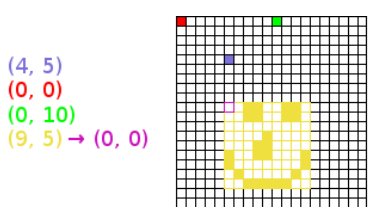

Myślę, że to wszystko, czego nam w tej chwili trzeba.

Stan

Stan to wiedza o wszystkich właściwościach świata stworzonego w grze. Co jest stanem w „jajeczkach"? W którą stronę obrócony jest wilk i jak ma ułożone ręce. Ile razy przegraliśmy. W jakiej pozycji znajdują się jajka i ile ich jest na ekranie. Punktacja. Wszystkie elementy, które tworzą grę, są odzwierciedlone przez zmienną, która jest potem interpretowana przez nas.

Zmienna `score` w `consts.lua` trzyma naszą punktację, `miss` – liczbę skuch. W `main.lua` zmienne `hands` i `face` reprezentują pozycję Wilka.

W Love2d stan jest globalny, co oznacza, że wszystkie komponenty mają bezpośredni dostęp do zmiennych. Jest to uważane za bardzo zły pomysł™, gdyż niepowiązane komponenty mogą deptać sobie po palcach i doprowadzać do nieokreślonego stanu. Jednak myślę, że obniża to też znacząco wysokość pierwszego stopnia, który potencjalny twórca musi pokonać.

Pętla

Istnienie czasu to problem, który spędzał sens z powiek wielu filozofom. Czy to rzeczywiście taka prosta linia z przeszłości w przyszłość? Czy może cały czas istnieje naraz, a nasza świadomość odbiera tylko echa takiej projekcji. Być może zmiany są w ogóle niemożliwe?

Jakakolwiek jest rzeczywistość skryta przed naszymi oczami, czas został zmechanizowany, pocięty na plasterki sekundową wskazówką zegarka – i empirycznie jest nam z tym dobrze.

W grze zmiana i czas muszą być przez nas odtworzone. Nikt nie znajdzie przyjemności, patrząc w statyczny obraz na ekranie, kiedy miał zamiar grać.

Love2d dysponuje dwiema funkcjami, które są wywoływane na okrągło w nieskończonej pętli. To w nich implementujemy zmianę (co się rysuje) i czas (zmiany stanu gry). Są to odpowiednio `love.draw()` i `love.update(dt)`.

Może nie umknęło Waszej uwadze, że w przypadku `update` mamy parametr `dt` – jest to zmienna, która mówi, ile czasu minęło od ostatniego jej wywołania (Δ czasu). Pozwala nam to kontrolować czas, w którym rzeczy się dzieją.

Przykładowo chciałem, aby można było poruszać Wilkiem w każdej chwili, ale ruch spadających jajek musi zachować jednolite tempo niepowiązane z ruchem postaci. Inaczej gra nie byłaby uczciwa – gdyby Wilk poruszał się w tempie spadających jajek, dosięgnięcie trzech będących na granicy rynny byłoby niemożliwe.

Popatrzmy w kod:

```
function love.update(dt)

  require('wolf_movement')
  wolf_movement()

  time_since_movement = time_since_movement + dt
  if(time_since_movement >= ms_to_roll) then
    time_since_movement = 0
    -- a jednak się rusza!
  end
end
```

Mamy zmienną `time_since_movement`, gdzie składujemy wszystkie mikrosekundy, które do nas przyszły w wyniku wykonywania funkcji. Jeśli ta suma jest większa niż zdefiniowana w `ms_to_roll`, ruszamy spadającymi jajkami. Funkcja odpowiedzialna za ruch Wilka znajduje się w `wolf_movement` i jest poza blokiem, co pozwala mu ruszać się w każdej chwili.

Po tym, jak Love2d skończy wykonywać ciało funkcji `love.update(dt)`, wywoływane jest `love.draw()` i nasza grafika jest rysowana zgodnie z ustalonym wcześniej stanem.

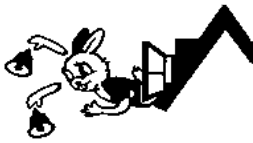

Elementy graficzne

Każda klatka animacji znajduje się w osobnym pliku i jest wczytywana podczas inicjalizacji programu. Wymyśliłem sobie, że będę je wszystkie trzymał w tabeli (nomenklatura Lua oznaczająca listę/hashmapę), dzięki czemu animowanie będzie polegać tylko na zwiększaniu indeksu o jeden.

W przypadku Wilka musiałem zastosować nieco inną metodę. Ponieważ rusza się on niezależnie i jest sterowany przez nas, możemy jego fragmenty pochować pod ładnymi nazwami:

```
-- pozycje wilka
wolf_left = {
  171, 134, -- koordynaty
  love.graphics.newImage('assets/wolf_left.png'),
-- obrazek
  'left' -- nazwa
}
 wolf_right = {
  250, 134,
  love.graphics.newImage('assets/wolf_right.png'),
  'right'
}
 left_up = {
  124, 134,
  love.graphics.newImage('assets/left_up.png'),
  'up'
}
 left_down = {
  116, 193,
  love.graphics.newImage('assets/left_down.png'),
  'down'
}
 right_up = {
  309, 138,
  love.graphics.newImage('assets/right_up.png'),
  'up'
}
 right_down = {
  300, 198,
  love.graphics.newImage('assets/right_down.
png'),
  'down'
}
```

Każdy fragment Wilka składa się z czteroelementowej tablicy, która zawiera: koordynaty, reprezentację wczytanego obrazka, a następnie string. Ten ostatni dodałem, nie mogąc wymyślić, jak zaimplementować sytuację, gdy Wilk patrzy w jedną stronę i obracamy go na drugą. Logika mówi, że jeśli trzymał ręce w górze w lewo, po zmianie na prawo ta pozycja będzie zachowana. Niestety, nieznajomość Lua spowodowała, że nie mogłem wymyślić lepszego pomysłu niż wulgarne nazwanie kierunku.

Ruch jajek sprawił dużo mniej problemów merytorycznych:

```
-- ruch jajek
eggs_pos = {
  {
     {37, 86, love.graphics.newImage('assets/
left_up_egg_1.png')},
    {54, 99, love.graphics.newImage('assets/left_
up_egg_2.png')},
    {75, 104, love.graphics.newImage('assets/
left_up_egg_3.png')},
    {92, 117, love.graphics.newImage('assets/
left_up_egg_4.png')},
    {107, 137, love.graphics.newImage('assets/
left_up_egg_5.png')}
  },
  {
     {39, 156, love.graphics.newImage('assets/
left_down_egg_1.png')},
    {55, 164, love.graphics.newImage('assets/
left_down_egg_2.png')},
    {71, 176, love.graphics.newImage('assets/
left_down_egg_3.png')},
    {92, 183, love.graphics.newImage('assets/
left_down_egg_4.png')},
    {105, 204, love.graphics.newImage('assets/
left_down_egg_5.png')},
  },
  {
     {416, 87, love.graphics.newImage('assets/
right_up_egg_1.png')},
    {399, 95, love.graphics.newImage('assets/
right_up_egg_2.png')},
    {381, 106, love.graphics.newImage('assets/
right_up_egg_3.png')},
```

```
    {359, 117, love.graphics.newImage('assets/
right_up_egg_4.png')},
    {346, 128, love.graphics.newImage('assets/
right_up_egg_5.png')},
  },
  {
     {418, 159, love.graphics.newImage('assets/
right_down_egg_1.png')},
    {399, 164, love.graphics.newImage('assets/
right_down_egg_2.png')},
    {380, 174, love.graphics.newImage('assets/
right_down_egg_3.png')},
    {364, 184, love.graphics.newImage('assets/
right_down_egg_4.png')},
    {343, 200, love.graphics.newImage('assets/
right_down_egg_5.png')},
  }
}
```

Mamy zatem tabelę z czterema elementami, które odwzorowują cztery rynny. W nich jest pięć faz animacji spadającego jajka: koordynaty i plik graficzny. Czyli `eggs_pos[1][1]` to pierwsza rynna, pierwsza pozycja jajka.

I tak, zanim zapytacie: **tabele w Lua zaczynają indeks od 1**. Miałem przynajmniej trzy błędy związane z moim założeniem – najwidoczniej optymistycznym – że liczymy od zera!

Podobnie wygląda definicja animacji skuchy.

I to byłoby na tyle w temacie przygotowania elementów graficznych.

Wilk lewy, Wilk prawy

Miałem ambicję zrobienia jakiejś dobrej abstrakcji w kwestii ruchu naszym protagonistą. Nauczyłem się jednak, że zła abstrakcja boli całe życie, zwłaszcza gdy robi się ją kompletnie bez znajomości idiomów języka. Uznałem, że prosty `if()` nikogo nie zabił, nawet jeśli powtarzam się powtarzam się przy tym przy tym.

Czytanie klawiatury w Love2d jest trywialne, nie trzeba znać nawet kodów klawiszy.

```
function wolf_movement()
  if love.keyboard.isDown("up") then
    if face[4] == 'left' then
      hands = left_up
    else
      hands = right_up
    end
  end
  if love.keyboard.isDown("down") then
    if face[4] == 'left' then
      hands = left_down
    else
      hands = right_down
    end
  end
  if love.keyboard.isDown("right") then
    face = wolf_right
    if hands[4] == 'up' then
      hands = right_up
    else
      hands = right_down
    end
  end
  if love.keyboard.isDown("left") then
    face = wolf_left
    if hands[4] == 'up' then
      hands = left_up
    else
      hands = left_down
    end
  end
end
```

Zmienne `face` i `hands` przechowują obecną pozycję Wilka. Widzimy tu moje tchórzliwe użycie czwartego elementu do zachowania stanu rąk. Teraz trzeba wrócić do `love.draw` i powiedzieć mu, co rysować.

```
love.graphics.draw(face[3], face[1], face[2])
love.graphics.draw(hands[3], hands[1], hands[2])
```

I to wszystko! Już można hasać po ekranie. Programowanie gier to czysta przyjemność, gdy nie przejmujesz się detalami!

Jajka się toczą

Nabuzowany tym sukcesem postanowiłem powoli zabrać się za następny element – ruch spadających jajek. Pierwsza wersja przyszła szybko.

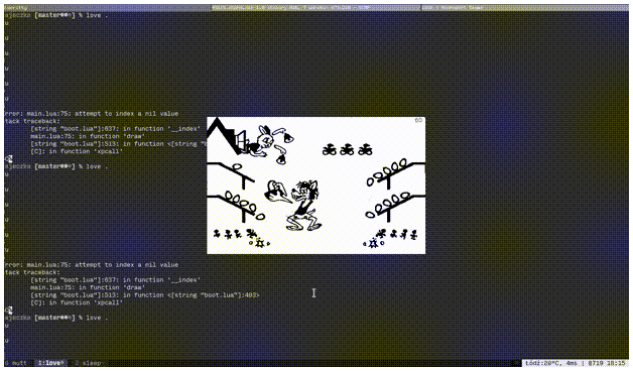

Mina mi jednak szybko zrzedła. Okazało się, że zapomniałem o grze w grze. Moja pierwsza implementacja nie mogła działać. Muszę mieć możliwość losowego spuszczania jajek dowolną rynną oraz dodawania nowych.

Dodatkowo jest też zwiększający się poziom trudności – zaczynamy od jednego jajka, a po uzyskaniu jakiejś liczby punktów muszą być dwa. Oraz nie mogą zaczynać spadać w tym samym momencie. Dobrą chwilę patrzyłem w kod, nie potrafiąc wyrazić się wystarczająco jasno w Lua.

Na przykład zmienną trzymającą stan rynien normalnie ująłbym, używając binarnej reprezentacji. `0x1010` i wiemy, że jajko toczy się po rynnie 1 i 3. Ale Lua nie ma w standardowej bibliotece odpowiednich narzędzi. Nie chciałem utknąć w trybie „jak się instaluje biblioteki". Zrobiłem więc następującą rzecz, wiedząc już, że moje zapiski będą bezużyteczne dla absolutnie początkujących – dodałem zmienne `eggs = {0, 0, 0, 0}` i `roll_on = {0, 0, 0, 0}` reprezentujące odpowiednio klatkę animacji na danej rynience i to, czy coś się po niej toczy. Następnie napisałem okropne `sum()`, które przyjmuje tabelę i sumuje elementy. Aplikując to na `roll_on`, wiem, ile rynienek jest zajętych. Teraz pozostaje tylko sprawdzić, czy chcę mieć więcej jajek, niż jest widoczne, zapisać indeksy tych, które są puste (==0), i losowo wcisnąć jajko.

A co z opóźnieniami? Okazało się, że Lua jest cierpliwe i zaakceptowało mój szalony pomysł: ustawię pozycję na ujemną!

I jakimś cudem zadziałało, uff...

```
function gutters_logic()
 if sum(roll_on) == 0 then -- nic się nie toczy
   -- znieś jajko byle gdzie
    roll_on[math.random(1,4)] = 1
  end

  if sum(roll_on) < eggs_on_screen then
    -- jest mniej jajek niż chcemy
    print("Sum(roll_on) ", sum(roll_on))
    print("eggs_on_screen ", eggs_on_screen)
    pick = {}
    how_many_we_need = eggs_on_screen
- sum(roll_on)
    print('how_many_we_need ', how_many_we_need)
    for i=1, table.getn(roll_on) do
      -- wybieramy puste rynienki
      if roll_on[i] == 0 then
        table.insert(pick, i)
      end
    end

    for i=1, how_many_we_need do
      -- losowa rynna z dostępnych
      choice = math.random(1, table.getn(pick))
      if roll_on[pick[choice]] == 1 then
      else
        roll_on[pick[choice]] = 1
        -- ileś „tyknięć nim się pojawi"
        eggs[pick[choice]] = math.random(1, 4)
* -1
      end
    end
  end
end
```

Jak doktor Frankenstein byłem zafascynowany i przerażony, że to żyje!

Rysowanie poszło dużo łatwiej.

```
for i=1, table.getn(roll_on) do
  if eggs[i] > 0 then
    current_egg = eggs_pos[i][eggs[i]]
    love.graphics.draw(current_egg[3], current_
egg[1], current_egg[2])
  end
end
```

Goń i łap

Nie pozostało nic innego, jak zacząć łapać te jajka. Po raz kolejny zawiesiłem wszystko na choince `if()`-ów.

```
function success_or_failure(i)
  if i == 1 and face == wolf_left and hands ==
left_up then return true end
  if i == 2 and face == wolf_left and hands ==
left_down then return true end
  if i == 3 and face == wolf_right and hands ==
right_up then return true end
  if i == 4 and face == wolf_right and hands ==
right_down then return true end
  return false
end
```

Należało to jeszcze wpiąć w `love.update(dt)`:

```
for i=1, table.getn(roll_on) do
  -- jeśli jajko się tu toczy
  if roll_on[i] == 1 then
    -- daj następną klatkę animacji
    eggs[i] = eggs[i] + 1
    if eggs[i] == fail_at then
      -- jajko jest na brzegu? A gdzie patrzy
wilk?
      if(success_or_failure(i)) then
        score = score + 1
        -- agresywnie zwiększam liczbę jaj dla
debugu
        if score == 2 then
          eggs_on_screen = 2
        end
        if score == 5 then
          eggs_on_screen = 3
        end
      else
        miss = miss + 1
        if i == 1 or i == 2 then
          failure_left = 1
        else
          failure_right = 1
        end
        print("Bams", i, failure_left,
failure_right)
      end
```

```
        -- jajko znika, komora losowania jest pusta
        eggs[i] = 0
        roll_on[i] = 0
      end
    end
  end
```

I tak, krok po kroku, całość zaczęła przypominać pierwowzór. Osiągnąłem swój cel główny: zmarnowałem prawie 5 godz.[1] Cel poboczny, czyli zrobić coś, czego nigdy nie robiłem, także uznaję za osiągnięty.

Teraz, napędzany zadufaniem początkującego, myślę nad zmianą kariery.

P.S. Jeśli serio chcecie się czegoś dowiedzieć o projektowaniu gier, polecam Wam książki wydane przez moich przyjaciół z Inżynierii Wszechświetności, choćby „Level design".

1 Oraz 2 godz., pisząc to, a za 7 godz. muszę przejechać na rowerze 60 km, proszę o współczucie.

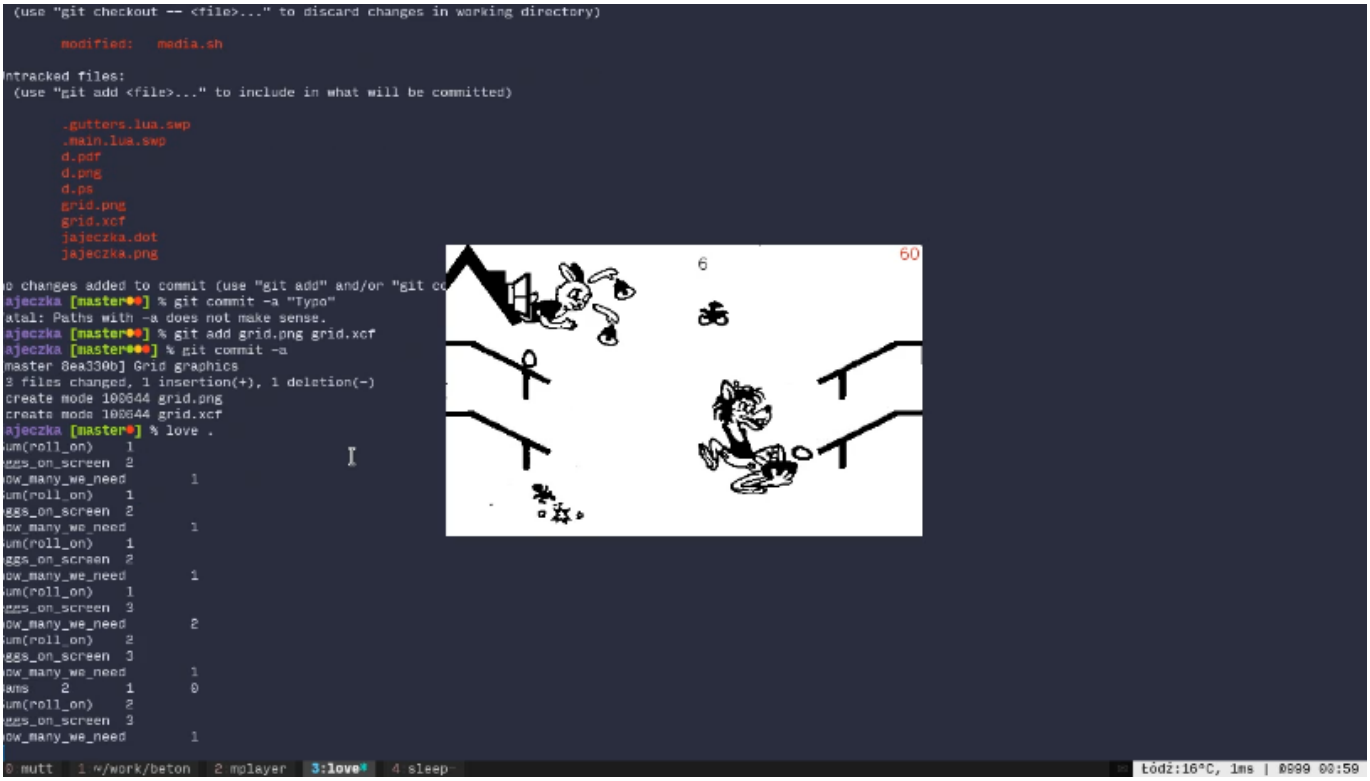

- Kod dostępny jest w repozytorium wraz z półproduktami.

Materiał ukazał się wcześniej na blogu autora Béton brut. Niektóre zamieszczone tutaj ilustracje w oryginale są animacjami, sprawdź!

➡ EMIL OPPELN-BRONIKOWSKI
software developer, hiker, writer & analog addict, pisze więcej różnych rzeczy na Béton brut. Prowadzi także newsletter.

Wilczomlecz

Nie taka straszna gwiazda betlejemska, jak ją malują!

PRZEDSTAWIA ➡ **ANNA STUDNIAREK**

Wilczomlecz piękny, foto: André Karwath aka Aka

Od redakcji:
Anna Studniarek wygłosiła prelekcję z cyklu „Nerdy Nocą Na Lewo" na temat roślin trujących w naszych ogrodach, zapraszamy do oglądania.

Gwiazda betlejemska, oficjalnie wilczomlecz piękny (*Euphorbia pulcherrima*), znana również pod nazwami wilczomlecz nadobny, poinsecja nadobna lub po prostu poinsecja (uff!). Pochodzi z Meksyku i Gwatemali, a w naszych domach pojawia się zwykle w okolicach Bożego Narodzenia – jej kolorystyka i układ barwnych podsadek (liści otaczających kwiatostan) kojarzą się bardzo świątecznie. Dodatkowo jest rośliną krótkiego dnia, czyli wymaga dłuższych okresów ciemności, żeby zakwitnąć, a przede wszystkim wypuścić jaskrawe liście (same kwiaty są drobne i mało interesujące).

Po świętach poinsecja zwykle podziela los choinki i trafia na śmietnik – najpóźniej po tym, gdy utraci kolorowe liście. Można jednak spróbować utrzymać ją do następnego sezonu – zimą regularnie podlewać i nawozić, na wiosnę przesadzić do nowej doniczki ze świeżą ziemią, a latem wystawić na balkon. Nie gwarantuje to sukcesu, ale spróbować warto, zwłaszcza jeśli ktoś nie ma serca wyrzucić jeszcze żywej rośliny.

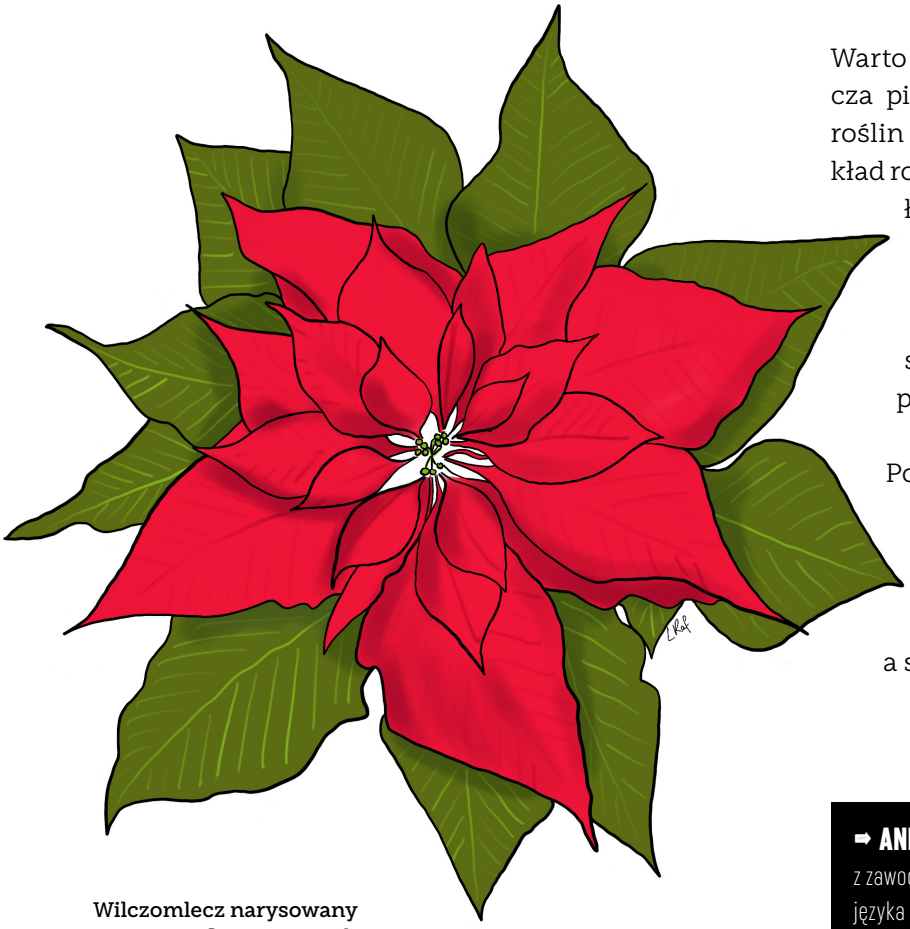

Wilczomlecz narysowany przez L. Rafley na potrzeby niniejszej opowieści

Gwiazdę betlejemską otacza czarna legenda rośliny śmiertelnie trującej, jeśli nie dla ludzi, to na pewno dla zwierząt domowych. Prawdopodobnie jej źródłem jest opowieść z końca XIX wieku o tym, jak obok dziko rosnącej rośliny znaleziono ciało dziecka i (oczywiście) uznano, że winna jest nieszczęsna poinsecja. W rzeczywistości nie jest szczególnie toksyczna, może co najwyżej wywoływać standardowe podrażnienie żołądka, nudności i wymioty.

Warto również dodać, że sok mleczny wilczomlecza pięknego, podobnie jak wszystkich innych roślin z tego rodzaju (a są ich dziesiątki, na przykład rosnący dziko wilczomlecz sosnka), ma działanie drażniące, u osób podatnych może wywołać wysypkę, a zatarcie nim oka nigdy nie jest dobrym pomysłem. Warto więc zachować ostrożność przy przenoszeniu, usuwaniu przywiędłych pędów lub przesadzaniu.

Podsumowując – gwiazda betlejemska nie zasłużyła na swoją złą sławę. Warto ją jednak trzymać z dala od zwierząt domowych i małych dzieci, bo niespodziewane wymioty zawsze są stresujące, a szczególnie w trakcie świątecznej kolacji.

➡ ANNA STUDNIAREK
z zawodu tłumaczka (przede wszystkim fantastyki) i nauczycielka języka angielskiego w liceum. Od wielu lat w czasie wolnym zajmuje się botaniką, co pozwoliło jej nabrać zdrowego szacunku wobec natury i jej możliwości.

Chutney bananowo-pietruszkowo-imbirowy

GOTUJE ➡ **KAROL LESIAK**

Gęsty sos warzywno-owocowy wywodzący się z kuchni indyjskiej, spopularyzowany na świecie przez Brytyjczyków. W kuchni staropolskiej znano go jako gąszcz – była to odmiana, która przywędrowała do Rzeczypospolitej przez Persję.

Poniżej moja propozycja chutneya bananowego. Bardzo dobrze pasuje do mięsa lub wszelkiego typu placków.

Składniki:

- 1 butelka **wina** (najlepiej białe, wytrawne, ale weź takie, jakie masz...)
- **ocet** (jakikolwiek), jeśli wino nie jest dostatecznie wytrawne
- 1 łyżka **oliwy**
- dwie **pietruszki** (korzeń)
- 3 duże **cebule**
- 1,5-2 kg **bananów** (najtańsze, jakie znajdziesz – zielone, pogniecione, przejrzałe, wszystko jedno)
- garść **rodzynek** (lub żurawina, borówka, daktyl czy co tam masz)
- kilka ziaren **kardamonu** (albo łyżkę stołową sproszkowanego)
- kawałek **imbiru** (albo dwie łyżki stołowe sproszkowanego)
- 2 łyżki stołowe **kurkumy**
- kilka ziaren **pieprzu** (lub łyżka zmielonego)
- **słoiki** lub inne pojemniki do przechowywania gęstego sosu/pasty

Procedura:

0. Odlej szklankę wina do popijania przy gotowaniu (jeśli lubisz wino), resztę naszykuj do zużycia.
1. Weź pół butelki białego wina i zagrzej z kardamonem i imbirem, żeby nabrało smaku.
2. Wrzuć do niego dwie starte na grubej tarce pietruszki i pogotuj na małym ogniu, aż zmiękną.
3. Trzy duże cebule posiekaj na grubo i zeszklij na oliwie. Dorzuć do wina z pietruszką.
4. Posiekaj banany (w plastry lub kostkę). Nie musi być równo, i tak się rozpadną.
5. Banany dorzuć do wina z pietruszką i cebulą.
6. Dodaj kurkumy na kolor i przypraw, by było tak ostro, jak lubisz.
7. Pogotuj jeszcze (ok. 30 min), aż banany się rozpadną. Bacz, by nie przypalić.
8. Gdy robi się zbyt gęste lub przywiera do garnka, dolej wina lub octu z wodą, tak by nie przywarło.
9. Na koniec dorzuć garść rodzynek i zagotuj ostatni raz. Gorące rozkładaj do wyparzonych/wyspirytusowanych słoików.
10. Zakręć i obróć, niech się zassa, a kiedy ostygną, włóż do lodówki, na balkon lub do spiżarni, by im chłodno było.
11. Otwórz jeden po dwóch-trzech dniach i oceń, czy dobry...

Uwaga! Część proporcji jest „na oko"! Nie dopracowałem jeszcze ścisłej receptury

➡ **KAROL LESIAK**
historyk sztuki, metaloplastyk i kucharz amator. Chwali się swoimi pracami w ramach Warsztatu Loraka.

z archiwum

Przepisy i porady pochodzą z rodzinnego zeszytu, założonego przed pierwszą wojną światową przez moją praprababcię, Anezę Chrzanowską (z d. Tripcovich), przekazanego jej córce, Marii Chrzanowskiej, następnie jej córce, a mojej babci, Jolancie Boni. Uzupełniany był on przez lata wpisami innych członków rodziny oraz przyjaciół.

Zeszyt zawiera porady na każdą okazję i potrzebę życiową, od wykwintnego rautu (zwłaszcza jeżeli ma się do pomocy tylko kucharkę) do tego, gdzie kupić kuwerturę po 75 kopiejek za funt.

WERTUJE ➡ **EWA MARCZYŃSKA-GOLDSTEIN**

Foto w tle: archiwum rodzinne Ewy Marczyńskiej-Goldstein

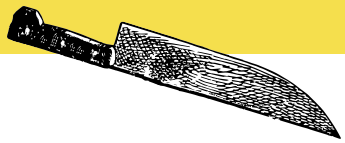

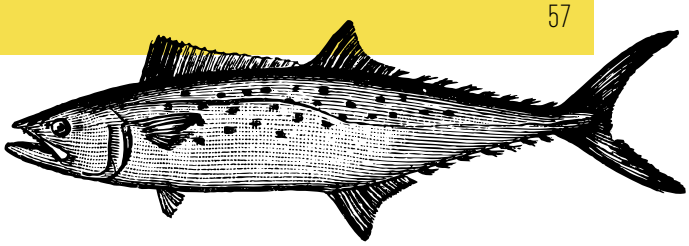

PORADY

Uwagi ogólne o majonezach

Na większych zebraniach żadna kolacya nie obejdzie się bez ryby, podawanej w różny sposób, na gorąco z różnemi przyprawami, na zimno w auszpiku lub majonezie. Ryby, podawane na zimno, tę głównie dla gospodyń przedstawiają dogodność, że wcześniej mogą być przygotowane.

Ryby gotowane, zimne czy gorące, podają się zwykle bez ości, co stanowi wygodę dla jedzących, tembardziej, że rybę jeść się tylko widelcem powinno.

Do auszpiku i majonezu dobiera się ryby duże 8–10 funtów.

Z ryby, w całości podać się mającej, ość grzbietową wyjmuje się albo przez rozpłatany brzuch (co jest dość trudne), albo też rozcina się mięso na grzbiecie i tym sposobem łatwiej całą rybę z ości się oswobadza. Ość grzbietową przy głowie i przy ogonie należy wyłamać. Aby zaś po ugotowaniu ryby na grzbiecie się nie otwierały, najlepiej po nasoleniu owinąć je do gotowania w starą serwetę, gęsto sznurkiem okręcić, tylko niezbyt mocno, aby ryba formy nie straciła, a potem złożyć do wanienki w gotujący się smak, scedzony z włoszczyzny. Skoro się ryba w nim zacznie dobrze gotować, po jakich 15 minutach odstawić ją na boczną blachę i tak niech z godzinę postoi, potem wyjąć, z sosu osączyć, złożyć na półmisek, sznurki poprzecinać i delikatnie odrzucić, aby ryby nie uszkodzić.

Gdy polewa majonezowa będzie gotowa, a ryba zupełnie zimna, odwinąć dopiero z serwety i polewać masą majonezową na pół palca grubo. Polewę majonezową robić można kilku sposobami; jedna więcej, druga mniej kosztowna, a każda daje smak dobry. Najdelikatniejsze są bez żelatyny, ale za to wiele więcej wymagają oliwy.

Sposoby wykonania różnych gatunków polew majonezowych podam w osobnym artykule.

PRZEPIS

Babka petinetowa

Żółtek 60, 2 całe jaja, skórkę z całej cytryny, potażu jak mały orzech laskowy, 3 łuty drożdży gęsto rozrobionych z mlekiem, bez poprzedniego wyruszenia, cukru 12 łutów, mąki przesianej 3 kwaterki.

Wszystko to wrzucić do maśnicy i ubijać przez 2 godzin z zegarkiem w ręku. Następnie wlać do formy czwartą część, a uróść musi do pełnego. Gdy gotowe, wstawić w piec dobrze gorący (jak na zwykłe baby), uważając jednak, aby blacha nie zanadto paliła, bo ciasto delikatne. Po wyjęciu studzić w ciepłem miejscu, nie wyjmując z formy, aż do zupełnego ostygnięcia.

Przypisy dla współczesnych:

Potaż – węglan potasu, K_2CO_3. Do kupienia obecnie rzadko (w Niemczech dostępny, w Polsce nie); z powodzeniem zastępowany sodą.
Łut – jednostka szczęścia (bo jednostka smaku to, jak wiadomo, kaloria). W Polsce szczęście mierzy się w jednostkach po 12,65 g.
Kwaterka – mniej pomocnie, 1/16 garnca. Bardziej do ludzi: ćwierć litra.
Maśnica – maselnica korbowa. Mało pomocne, bo i niekorbową rzadko się spotyka obecnymi czasy.
Auszpik – galareta, ta, w której rybka pływa.

➡ EWA MARCZYŃSKA-GOLDSTEIN
czyli Srebrna, kręci bombki i szaliki.

Najprostsza krzyżówka ever

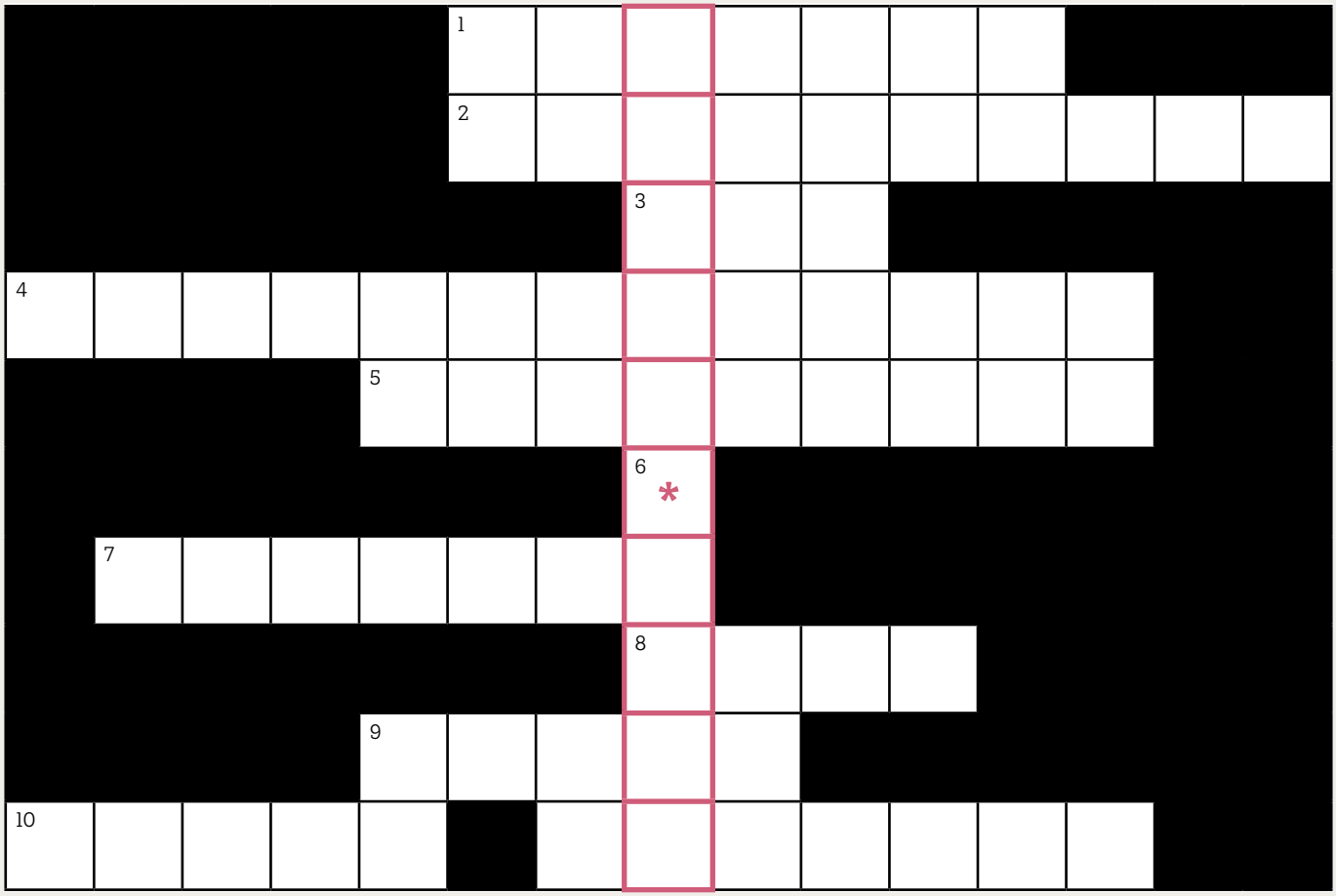

Hasła poziomo:

1. Sumeryjska bogini piwa
2. Miasto na Uralu lub gra komputerowa
3. Napój alkoholowy z trzciny cukrowej
4. Amerykański satelita nazwany przez prasę „Kaputnik"
5. Hamuje ekspresję genu
6. *
7. Złupili go Kasyci
8. Choroba albo komputer
9. Lucjan Sawicki, popularyzator paleoastronautyki
10. Sytuacja znana miłośnikom gier Fallout i Metro 2033

Zaznaczone litery z haseł utworzą nazwę audycji zawierającej wszystkie powyższe tematy ;-)

➡ **SENESZAL, CZYLI KAROL LESIAK**
historyk sztuki, konserwator zabytków, metaloplastyk, miłośnik gotowania.

ZINES

MAGAZYN RETROKULTURALNY

SPECCY.PL

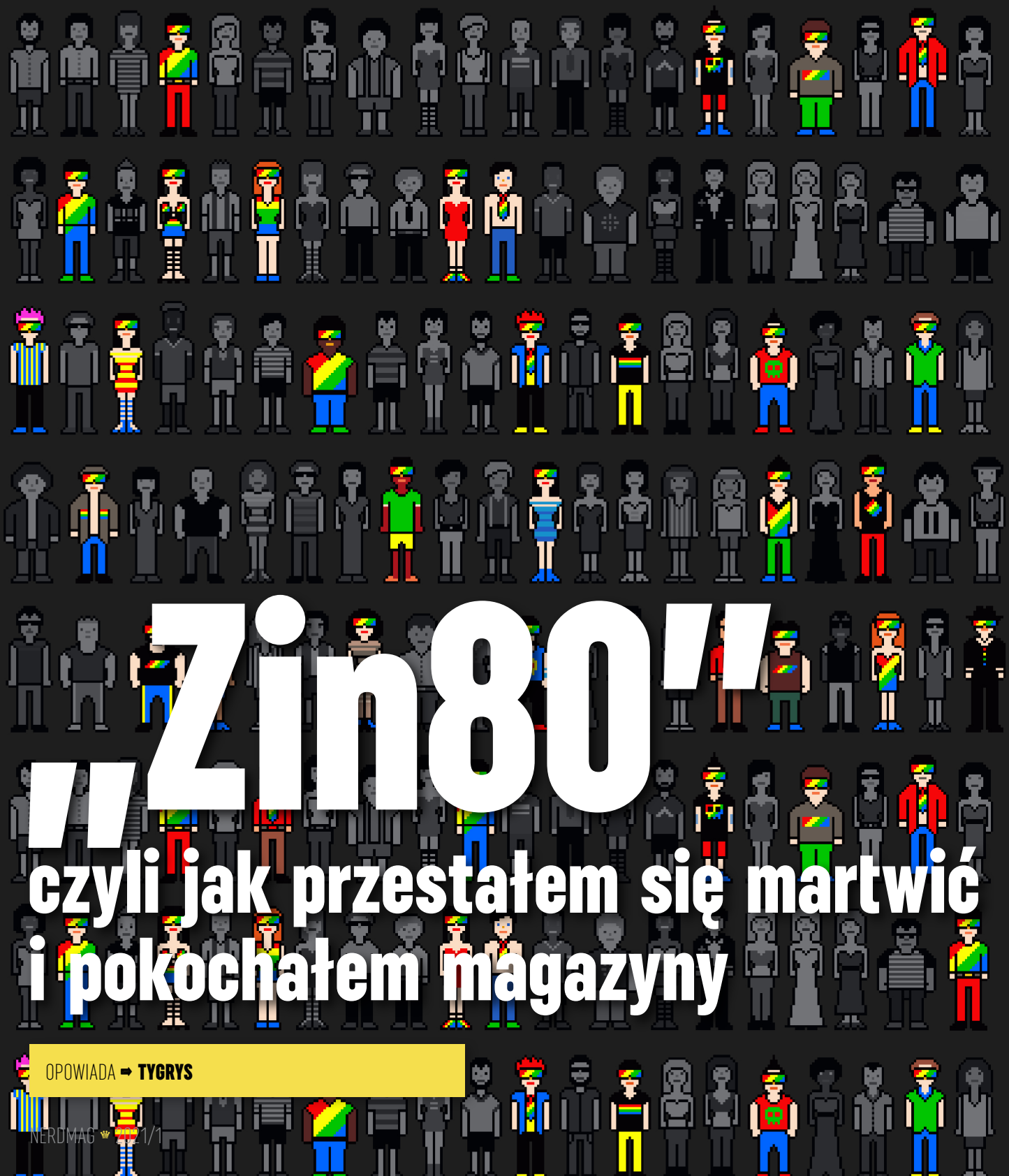

„Zin80"

czyli jak przestałem się martwić i pokochałem magazyny

OPOWIADA ➡ **TYGRYS**

„Zin80" #1: okładka i logo – Piesiu | „Zin80" #2: okładka i logo – DKL | „Zin80" #3: okładka – Slayer, logo – DKL

Moje pierwsze artykuły zostały opublikowane w „Magazynie Amiga". To były czasy amigowego wesołego rulezowania, a dookoła mnóstwo znajomych z podobnymi zaburzeniami ;)

Pod koniec XX wieku ZX Spectrum poszło w odstawkę na dobre kilkanaście lat. Choć nie do końca – w 2006 roku powstał AYLand – radio internetowe, w którym nadawałem utwory grane na ZX Spectrum. Wtedy też, pod wpływem zagranicznych publikacji, chciałem po raz pierwszy stworzyć magazyn dedykowany ZX-owi. Na chęciach i zerowym zainteresowaniu ówczesnego „internetu" się skończyło.

Trzy lata po stworzeniu Speccy.pl [portalu społeczności spektrumowej – przyp. red.], podczas któregoś z kolejnych meetingów, ukazało się polskie tłumaczenie magazynu „Spectrum Today". Oryginalną angielską wersję stworzył evills, słowacki miłośnik ZX Spectrum, współorganizator Forever Party. Były plany kolejnego numeru „ST", ale evills przerwał prace.

Po raz kolejny poczułem pustkę. Nie tylko w związku z brakiem prasy poświęconej moim ulubionym komputerom, ale też na forum Speccy.pl, gdzie większość wątków to był offtop lub bazar. Postanowiłem coś z tym zrobić – ukróciłem niechciane wątki i ogłosiłem rozpoczęcie prac nad pierwszym numerem nowego fanzinu. Tym razem nie o samym ZX, ale o całej rodzinie komputerów, które łączy wspólny typ procesora. Skontaktowałem się z potencjalnymi autorami i ruszyła praca nad tekstami.

Propozycji nazw dla fanzinu było wiele. Wybrano „Zin80" – pomysłodawcą był trojacek (osoby czytające „Bajtka" powinny go znać). Po dwóch miesiącach było już tekstu na 32 strony. Można wydawać!

Nadal kocham papier. Chciałem mieć namacalny efekt kilkumiesięcznej pracy w rękach. Wiem, szanuję lasy, ale to było silniejsze. Pierwszy numer „Zin80" ukazał się drukiem podczas Speccy.pl Party 2019.1, a po dwóch tygodniach trafił także w ręce prenumeratorów magazynu „Pixel".

Teraz, na początku 2021 roku, wznawiamy prace nad czwartym numerem – w limitowanym nakładzie papierowym będzie dostępny dla osób z forum Speccy.pl.

➡ **TYGRYS**
prowadzi portal Speccy.pl i wydaje magazyn „Zin80" – oba związane z komputerami ZX Spectrum i SAM Coupé – dla ludzi, którzy też to lubią. Demoscenowiec z niezłym dorobkiem na kilku platformach.

Pendrive znaleziony w trawie

Będzie technicznie, ale potrzebuję spuścić trochę ciśnienia. Stworzyłem zagadkogrę kryminalną, która sprawia inne problemy, niż można by się spodziewać.

PISZE ➡ **BOREK**

Kilka słów wprowadzenia – Pendrive znaleziony w trawie (PDZwT albo The USB Stick Found in the Grass, TUSFitG, bo jest i wersja angielska) to taka zagadkogra kryminalna, którą wymyśliłem kilka lat temu. Zaczęło się od rozważań na temat tego, co to w ogóle jest gra, jakie są minimalnie potrzeby gracza, czy można zrobić grę, która nie byłaby dedykowanym programem, ale wymagała korzystania z Windowsa i dowolnych narzędzi – i w istocie PDZwT był dowodem na to, że się da.

Gracz/ka dostaje do ręki „zgubionego" pendraka. Wie, że jest on potencjalnie związany z jakimś przestępstwem, ma spróbować dojść, o co chodzi. Bardzo z grubsza rozgrywka sprowadza się do czytania pamiętnika bohaterki i porównywania informacji z niego pochodzących z informacjami z powiązanych z nim zdjęć. Trzeba użyć trochę logiki i dedukcji.

Najpierw były wersje sprzętowe – pierwszą rozkładałem w 2018 roku na Pixel Heaven, kolejną sprzedawałem na Allegro. Potem wymyśliłem, jak to przenieść na komputer.

Fast forward do dzisiaj. TUSFitG można kupić na Steamie, gra ogólnie się podoba, ale niestety jest dość często zwracana. Steam pozwala na oddanie tytułu w ciągu dwóch godzin, można podać powód – przeglądam te notatki, żeby dowiedzieć się, co mogę poprawić.

Na ogół problem nie leży po mojej stronie, ludzie najwyraźniej nie czytają opisu albo mu nie wierzą. Choć zasady zostały opisane na stronie gry w sklepie, komentarze są w stylu „spodziewałem się przygodówki point and click", „myślałem, że to się będzie grało w grę, a nie korzystało z Windowsów", „program chce podłączyć dysk, co mi się nie podoba" itp.

Co jakiś czas pojawia się komentarz „gra niewarta swojej ceny, prosty dokument i kilka zdjęć". W świetle tego, na czym polega rozgrywka, można odnieść wrażenie, że rzeczywiście tak jest – ale wyjaśnię Wam, dlaczego to tylko pozory.

Pendrak w założeniu miał wyglądać jak najprawdziwiej. Opisana w nim historia wydarza się w maju 2018 roku. Autorka pamiętnika używała przez kilka lat pendraka do przenoszenia plików między dwoma komputerami, teraz trzyma na nim pamiętnik – to wszystko musi być uwzględnione. Każda osoba, która kiedyś próbowała odzyskać usunięte niechcący zdjęcie, wie, że dyski zachowują sporo informacji dotyczących ich historii. Tego nie widać – ale w grupie docelowej oprócz graczy niedzielnych znajdują się specjaliści i specjalistki DFIR – dla nich też wszystko musi wyglądać realistycznie. Kilkaset godzin pracy poszło w to, czego nie widać. Nie będę wnikać w szczegóły, żeby uniknąć spoilerów, ale o jednej rzeczy opowiem dość dokładnie.

Pamiętnik jest dokumentem napisanym w OpenOffice. Historia działa się w maju 2018 roku – data utworzenia pliku, data jego ostatniej modyfikacji i data ostatniego użycia muszą być zgodne z chronologią. To jest oczywiste i trywialne, daty plików da się ustawić choćby Total Commanderem. Gorzej, że dokument sam z siebie też zawiera daty w swoich metadanych. Otwórzcie dowolny dokument w OpenOffice, wybierzcie Plik/Właściwości – macie tam w zakładce Ogólne daty utworzenia i ostatniej modyfikacji, razem z informacją o tym, kto te operacje wykonał. W dodatku właściwie nie ma jak ich zmienić, bo są tworzone przez edytor.

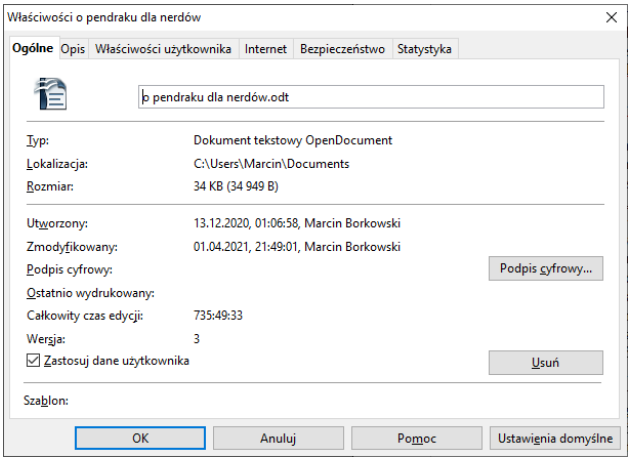

W tym celu trzeba sięgnąć głębiej, do wewnętrznego formatu pliku. Jak już się wie, co i jak, rzecz nie jest specjalnie skomplikowana – każdy

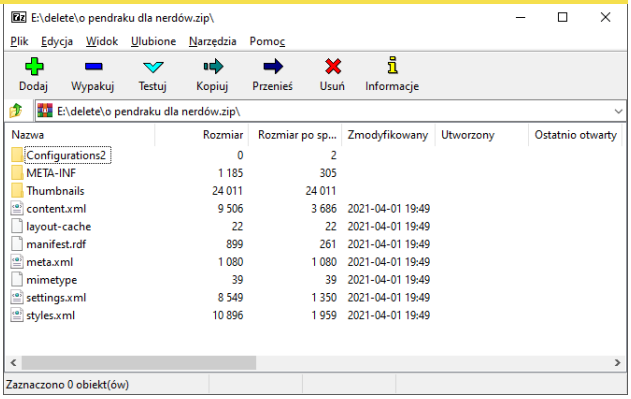

dokument jest w istocie archiwum ZIP zawierającym między innymi kilka spakowanych plików XML. Łatwo to sprawdzić, zmieniając rozszerzenia pliku z .odt na .zip. W tych plikach XML odpowiednie informacje można zmodyfikować choćby za pomocą notatnika windowsowego. Potem tylko spakować z powrotem, zmienić rozszerzenie pliku na .odt – i jesteśmy w domu.

Nie będę opisywać, jak do tego dochodziłem ani ile czasu mi to zajęło, ale ponieważ sam edytowałem pamiętnik setki razy (i za każdym razem OpenOffice modyfikował datę ostatniej edycji), żeby nie musieć nanosić wszystkich poprawek ręcznie, napisałem skrypt, który ten dokument rozpakowywał, poprawiał i pakował. Tak przygotowana wersja była pierwszą, która ujrzała światło dzienne – w ten sposób powstał dokument na pendrakach, które rozrzuciłem na Pixel Heaven. Byłem z siebie całkiem zadowolony.

A potem któregoś dnia zbudziłem się zlany potem. PRZECIEŻ TO JEST ŹLE!!! Patrzcie: skrypt rozpakowuje ZIP-a, inne narzędzia (sed i osobny program w Pythonie) modyfikują pliki, skrypt pakuje ZIP-a ponownie. Ale kiedy skrypt poprawiał pliki, system operacyjny zmodyfikował ich daty, a daty są zapamiętywane w archiwum ZIP! Osoba specjalizująca się w Digital Forensics bez problemu sprawdzi, że pamiętnik jest fałszywką i był sztucznie modyfikowany.

Gdy już pot wysechł, poprawienie błędu było trywialne. Jednak podobnych kwestii wymagających szczególnej uwagi były dziesiątki.

Więc tak, PDZwT to jest jakiś prosty dokument i kilka zdjęć. Tyle że ich przygotowanie tak, żeby wyglądały przekonująco, wymagało grzebania w rzeczach, o których większość graczy i graczek nie ma pojęcia.

I nie muszą – starałem się, żeby tak samo dobrze można było się bawić, widząc wyłącznie prosty dokument, jak i badając indywidualne sektory dysku FAT32 (który używa pamięci flash mającej dość specyficzne właściwości).

A i tak jestem pewien, że coś przegapiłem.

➡ **BOREK**
autor jakiejś gry, jakiejś książki, kiedyś naczelny jakiegoś miesięcznika, lubi się pomądrzyć i rzucić sucharem.

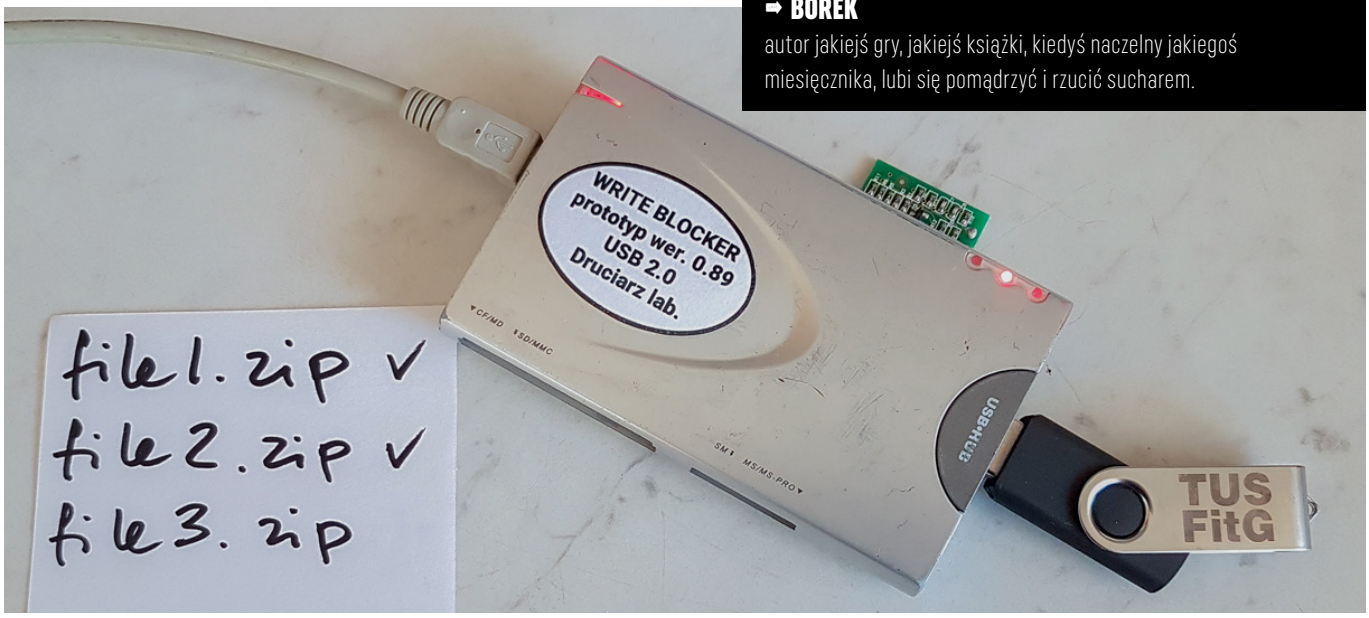

Zdjęcia i skrinszoty: Borek

Czy buddyści wierzą w Boga?

Kto ma jakąkolwiek wiedzę o religiach, bez trudu zauważy, że tytułowe pytanie jest retoryczne i ma jedynie stanowić punkt wyjścia religioznawczych rozważań. Zacznę jednak od podstaw.

PISZE I FOTOGRAFUJE ➡ **RENATA LIZUREJ**

Zanim zaczniecie czytać czy słuchać o buddyzmie, wyrzućcie z głowy wszystkie porównania z chrześcijaństwem i w ogóle wizje religii jako zmultiplikowanych wersji jednej opowieści.

Buddyzm jest inny.

Powstał około V wieku p.n.e., a jego podstawę stanowią nauki Siddharthy Gautamy. Siddhartha rozpoczął karierę nauczyciela duchowego po wielu latach własnych treningów, studiów i medytacji. Jego uczniowie nazywali go Siakjamunim (mędrcem z rodu Siakjów), ale równie często określano go „tym, który się przebudził" (przebudził się z ułudy, zobaczył rzeczy takimi, jakimi są), czyli Buddą. Ten indyjsko-nepalski nauczyciel nie pozostawił po sobie żadnej księgi – jego filozofię przekazywano ustnie. Dopiero gdy zmarł, zwołano kilka zgromadzeń, na których ustalono, co jest autentyczną wiedzą przekazaną przez mistrza. Daty i miejsca tych spotkań zginęły w pomroce dziejów, a każda tradycja buddyjska ma na ten temat własne zdanie. Ważne jest jednak, że główne myśli i zagadnienia są w nich takie same, jedynie interpretacja i szczegóły zostały dostosowane do lokalnych tendencji.

Żeby lepiej to zrozumieć, warto wiedzieć, że istnieją trzy główne odłamy buddyjskie, które mieszczą się w sobie jak baba w babie (czyli matrioszki:)), tzn. każda kolejna zawiera takie same nauki jak poprzednia – i coś jeszcze. Są to:

1. **Hinajana** – a właściwie **Therawada**, bo czysta Hinajana w zasadzie już nie istnieje. Dominuje w Azji Południowo-Wschodniej (Tajlandia, Laos, Birma, Kambodża, Sri Lanka). Opiera się na tzw. kanonie palijskim – tekstach mów Buddy zapisanych w języku pali. Jest raczej konserwatywna, ogromną rolę odgrywają mnisi i klasztory, a ideałem, do którego się dąży, jest arhat[1].

Posąg buddyjski w stylu tybetańskim przedstawiający Guru Padmasambhawę – Nirmanakaję

2. **Mahajana** uważa, że teksty Pali stanowią tylko część nauk Buddy. Kierunek ten zalicza do nich także inne pisma, które przetrwały w sanskrycie lub jego mieszanej odmianie. Mahajana to przede wszystkim japoński, koreański i wietnamski Zen, chiński Czan, japońskie tradycje związane z Buddą Amidą. Idee, którymi ta tradycja wzbogaciła filozofię buddyjską, to nauki o pustce (zawarte w tekstach Sutry Pradżniaparamity) i ideał bodhisattwy[2]. W życiu społecznym większego znaczenia nabierają mniszki i świeccy uczniowie.

---

1 Arhat – w tradycji Therawady osoba, która uzyskała oświecenie, wyszła poza krąg samsary – narodzin i śmierci.

2 Bodhisattwa - według popularnych, powierzchownych opinii bodhisattwa świadomie rezygnuje z pełnego oświecenia, dopóki nie wyzwoli wszystkich istot. Jest to jednak pogląd błędny, niezgodny z naukami buddyzmu mahajany. Ta rezygnacja ma charakter dydaktyczny i symboliczny, obrazując wagę altruistycznej motywacji ponad własne osiągnięcia. Stan ten ma największe możliwości przynoszenia pożytku istotom.

Thangka buddyjska (obraz w stylu tybetańskim) przedstawiający Buddę Majtreję – sambhogakaję

3. **Wadżrajana**, zwana czasem na Zachodzie buddyzmem tantrycznym lub tybetańskim, jest mahajaną z dodatkowym zestawem praktyk i ezoterycznych komentarzy zwanych tantrami. Jest popularna nie tylko w Tybecie, ale także w Chinach, Mongolii, Buriacji, Wietnamie i Japonii, gdzie uważa się ją za bardzo tajną doktrynę. Mahajanistyczny ideał bodhisattwy jest w społeczeństwach wadżrajany realizowany m.in. przez jogina – nakpę[3] dążącego do stanu mahasiddhy[4].

Powróćmy jednak do pytania - w co buddyści wierzą?

Rozwiewam wszelkie wątpliwości, jakoby wierzyli oni w Boga lub bogów. W każdym razie nie w takim sensie, w jakim to rozumieją „religie księgi" – absolutnego, wszechwiedzącego i wszechmogącego. Coś takiego nie mieści się w tej filozoficznej koncepcji. Pomniejsze bóstwa? Owszem, ale poza długim życiem i możliwością stosowania pewnych trików (np. przekonywania ludzi, że są wszechwiedzące, wszechmocne i że stworzyły świat, o czym opowiem później) podlegają takim samym prawom jak my wszyscy – prawu przyczyny i skutku (karmie) oraz entropii.

Oczywiście my, urodzeni w „świecie teistycznym"[5], nie wyłączając religioznawców, mamy względem religii pewne oczekiwania. Kombinujemy więc: skoro nie Bóg, to może chociaż absolut? I to już łatwiejsza sprawa – wystarczy pogrzebać w bardziej ezoterycznej części doktryny, żeby coś sobie przyporządkować.

A więc – jak to wygląda?

---

3 Nakpa to osoba świecka, która porzuciła światowe dążenia. Całe jej życie skoncentrowane jest na życiu duchowym - wykonywaniu praktyk duchowych i medytacji. Może mieć rodzinę i pracę, ale nierzadko spędza życie w odosobnieniu.

4 Mahasiddha - urzeczywistniony mistrz - w buddyzmie tybetańskim termin określający oświeconych mistrzów ścieżki tantrycznej, którzy osiągnęli maha-siddhi - najwyższy poziom poznania, oznaczający najwyższą moc, osiągnięcie jedności z nienazywalną rzeczywistością, a także manifestujących to urzeczywistnienie (spełnienie) w wymiarze względnym, zjawiskowym.

5 Oczywiście nie twierdzę, że wszyscy Polacy/Europejczycy to teiści, ale wychowujemy się w środowisku, które pozostawia mało miejsca na rozważania innego typu. Nawet gdy ktoś przyszedł na świat w nieteistycznym domu, poza nim był bombardowany przez taką właśnie narrację. Przesiąknięta jest nią cała kultura, nawet tego nie zauważamy. Jeśli jesteś ateist/ką albo politeist/ką, przypomnij sobie, jak na to wpadła/eś i co musiała/eś zrobić ze swoimi nawykami, na przykład językowymi (mnie się po 30 latach zdarza powiedzieć: „o Boże!").

Buddyści therawady rozwinęli ideę Buddy jako człowieka - nauczyciela z ludzkimi ograniczeniami i zdolnościami, które nie wykraczają poza obszar naszego pojmowania. W przeciwieństwie do nich przedstawiciele szkół mahajany (w tym wadżrajany) postrzegają Buddę jako postać transcendentną i kosmiczną.

Rozwinęli oni doktrynę „trzech ciał" (trikaya). Są to:

1. **Dharmakaja,** która jest bezforemna i jest doświadczeniem prawdziwej rzeczywistości. Nie ma żadnych cech poznawalnych ludzkimi zmysłami. Uosabia stan tego, jak jest.

Bardzo ciężko jest opisać coś, czego się nie doświadczyło, np. smak lodów waniliowych, gdy się ich nigdy nie jadło, dlatego definicja dharmakai jest tak mglista. Z całą pewnością można o niej napisać, że charakteryzuje się bezwzględną miłością i akceptacją. To jest zapewne powód, dla którego część religioznawców lubi porównywać bezforemną kaję do Boga czy choćby absolutu.

Z dharmakai, która jest nieogarnialna przez ludzkie ograniczone umysły, emanowane są dwa pozostałe, foremne ciała – sambhogakaja i nirmanakaja.

2. **Sambhogakaje** są symbolicznymi postaciami niezwykle bogatymi w znaczenie. Niestety mogą je zobaczyć i posłuchać ich nauk jedynie bardzo zaawansowani praktykujący, którzy z kolei mogą opowiedzieć o nich zwykłym ludziom. Jednak jest różnica między obejrzeniem filmu a wysłuchaniem opowiedzianej przez kogoś fabuły...

Postacie sambhogakai masowo wypełniają mahajanistyczne świątynie jako posągi i malowidła. Przez osoby nieznające buddyzmu są brane za bóstwa lub bogów. Sprawę komplikuje jeszcze fakt, że np. w języku tybetańskim nazywa się je słowem „lha", które jest tłumaczone na języki zachodnie jako „bóstwo, bóg", gdyż określa się nim także pomniejszych bogów z panteonu tradycji przedbuddyjskiej, takich jak opiekunowie rzek, lasów itp.

Thangka buddyjska (obraz w stylu tybetańskim) przedstawiający Gynkara – sambhogakaję

Aby każdy mógł doświadczyć namiastki dharmakai, wypromieniowuje ona jeszcze jedno ciało – nirmanakaję.

3. **Nirmanakaja** to:

- zaawansowani na ścieżce buddyjskiej nauczycielki/nauczyciele dharmy,
- nauczycielki/nauczyciele innych religii i filozofii, niesprzecznych etycznie z buddyzmem (np. nienawołujący do ofiar z ludzi czy zwierząt, kradzieży i krzywdzenia innych),
- altruistyczne lekarki i lekarze,
- leki pomagające ludziom w cierpieniu i wydłużające życie,
- królowie i politycy obu płci dbający wyłącznie o dobro ludzi (rzadkie przypadki),
- naukowczynie/naukowcy pracujący, aby „ulżyć ludzkiej niedoli",
- inspirujące do dobra dzieła sztuki,
- ułatwiające życie wynalazki,

Wnętrze świątyni buddyjskiej w stylu tybetańskim, w środku posąg Buddy Siakjamuniego i nauczyciela buddyjskiego Dilgo Khjentse Rinpoczego – nirmanakaję

- miejsca stworzone tylko i wyłącznie do ułatwiania ludziom doskonalenia duchowego.

Rozumiemy zatem, że jeśli ktoś – lub coś – zostało uznane przez buddystów za nirmanakaję, to należy mu się ogromny szacunek, dlatego w wielu świątyniach bije się pokłony, składa ofiary oraz pali kadzidła i świeczki przed specjalnymi posągami, stupami i ważnymi nauczycielkami/nauczycielami buddyjskimi. Nieznająca tej tradycji osoba, widząca, jak przed Dalajlamą wierni dosłownie „padają na twarz", kombinuje jakieś dziwne teorie króla-boga, albo ofiary przed buddyjskim ołtarzem bierze za karmienie idoli lub bogów.

Ołtarz pod stupą w Gangtoku w Sikkimie. Ludzie składają ofiary pod symbolicznym wizerunkiem natury Buddy, którym jest stupa. Kot korzysta z cienia i nielegalnie zgarnia hołdy

Kończąc wątek, temat równości między Bogiem, absolutem i dharmakają uważam za nierozstrzygalny ze względu na brak wiarygodnej definicji któregokolwiek z tych pojęć.

A czym są „pomniejsze bóstwa" i ogólnie bogowie w buddyzmie?

Jak pewnie wiecie, w tej religii wierzy się w reinkarnację – ideę, że po śmierci, jeśli nie uzyskało się oświecenia, czyli wyjścia poza samsarę, trzeba będzie urodzić się jeszcze raz. Problem jest jednak nie w tym, że znów trzeba będzie pisać maturę (o ile w ogóle pójdziemy do szkoły), znów pierwszy

Wnętrze świątyni w stylu chińskim – Bodh Gaya – Indie. Posąg Buddy Siakjamuniego i bodhisattwów (nirmanakaja i sambhogakaje)

raz umawiać się z dziewczyną czy chłopakiem, dostać wielokrotnie burę od rodziców, zanim się dorośnie, i od szefów, jak się dorośnie — ale w tym, że wcale nie musimy urodzić się ludźmi.

W tradycji buddyjskiej nasz świat nie jest jedyny. Światów jest sześć. Część z nich współdzielimy z innymi istotami, a część nie jest dla nas dostępna[6]. Światy dzielimy na niższe i wyższe:

Trzy niższe:
1. świat piekieł,
2. świat pretów (błądzących/głodnych duchów),
3. świat zwierząt.

Trzy wyższe:
1. świat ludzi,
2. świat asurów (walczących półbogów, herosów),
3. świat bogów.

Ołtarz buddyjski w świątyni w Sikkimie. Pośrodku posążek Buddy Siakjamuniego, po prawej stronie Guru Rinpocze, po lewej bodhisattwa Czenrezig, poniżej bodhisattwa Amitajus

Znowu wyskakują nam jacyś bogowie (choć jak powiedział Gagarin...).

6 Wiele interpretacji buddyjskich traktuje te światy jako stany umysłu lub stany iluzoryczne albo psychologiczne, ale zdarzają się i takie, które traktują je dosłownie.

Poza tym nasz teistyczny umysł kombinuje: może skoro są piekła, to są też i nieba, a w każdym jakiś Bóg. W ten sposób niektóre szkoły buddyjskie były brane za odmiany hinduizmu (z którego filozofii buddyzm się wywodzi)[7].

Wystarczy jednak doczytać, że świat bogów, choć jest dość fajny (żyją długo, są młodzi i piękni, nie troszczą się o byt), nie jest wieczny. Nieuchronnie nadchodzi taki czas, że jego mieszkańcy zaczynają się starzeć, a wtedy przyjaciele i służba odsuwają się od nich, aż wreszcie w samotności i zapomnieniu umierają. Przed śmiercią cierpią, wspominając wspaniałość swojego życia, szczególnie że są świadomi, iż czeka ich odrodzenie w jednym z niższych światów.

Jako kolejną ciekawostkę napiszę, że istoty ze świata bogów z łatwością mogłyby używać technik duchowych (np. medytacji czy jogi), aby wyzwolić się z samsary i mieć już wszystko z głowy, ale zwykle tego nie robią. Powód jest prozaiczny: ich świat jest niezwykle przyjemny i nie mają motywacji do filozoficznych dociekań. Rzecz jasna inaczej jest w świecie ludzi, dlatego jest on uważany za najlepszy do odrodzenia w samsarze, mimo wielu oczywistych minusów[8] (albo dzięki nim).

Niemniej jednak, jak wierzą buddyści, zdarza się czasem, że jakiś bóg lub asura poświęca się praktyce duchowej. Ma mnóstwo czasu i idealne warunki, bardzo szybko uzyskuje pewne osiągnięcia i zaczyna rozumieć, że jego świat jest miłą iluzją, a on wie więcej i widzi więcej, więcej, jeszcze więcej.

Czasem spostrzega świat, w którym istoty mają duchowe skłonności, ale żyją tylko 80-90 lat, co dla niego jest mgnieniem oka. Widzi też przepaść między tymi dwuwymiarowymi ludzikami a wielowymiarowym sobą, który z łatwością mógłby zniszczyć ten świat albo (jak sądzi) także go stworzyć. Zaczyna uważać się za wiecznego stwórcę i niszczyciela światów. Istoty, z którymi nawiązał kontakt, oszołomione jego mocą wierzą w jego wersję wydarzeń, składają mu hołdy i zanoszą do niego modlitwy.

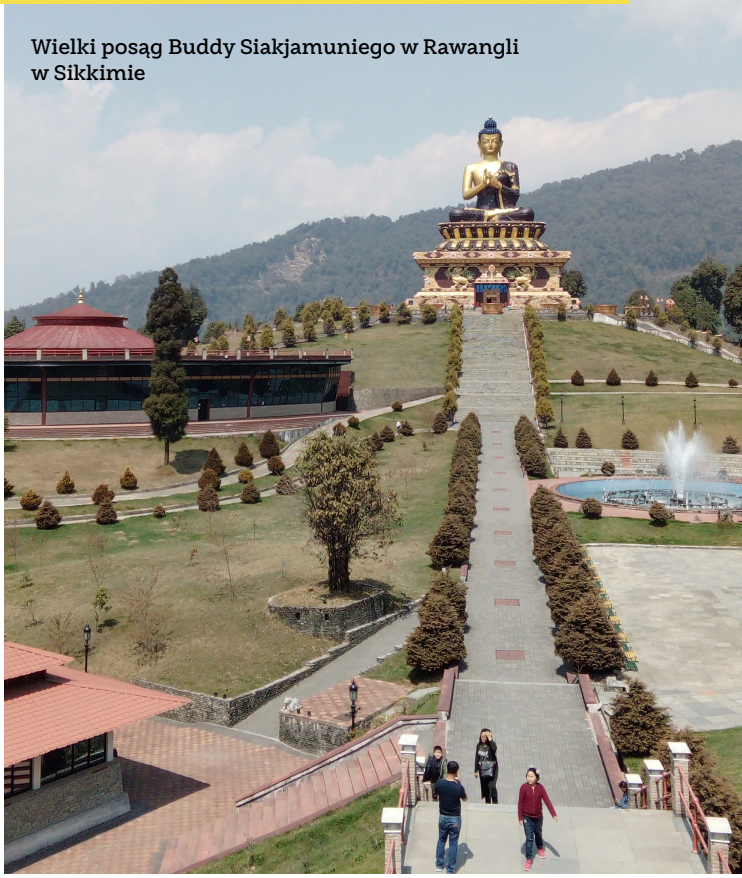
Wielki posąg Buddy Siakjamuniego w Rawangli w Sikkimie

Tyle buddyjska legenda, dość niepokojąca, przyznacie. Jak widać, nie tylko teiści dziwią się buddystom, ale i buddyści teistom i układają o nich historie.

Napisałam trochę na temat tego, w co buddyści nie wierzą, w co wierzą i jakie są tego podstawy filozoficzne. Może następnym razem napiszę np. o tym, że dla buddystów nasz świat to najlepszy ze światów (ale tylko dlatego, że ewidentne minusy nie przesłoniły im plusów).

➡ **RENATA LIZUREJ**
socjolog i bibliotekarz, lubi rzeczy ładne i przerabia, co jej wpadnie w ręce, na kiczowate maskotki i plastikową biżuterię. Interesuje się religiami, szczególnie buddyzmem.

7 Na podobnej zasadzie chrześcijaństwo i islam wywodzą się z judaizmu.

8 Ale to już dłuższa opowieść na następny odcinek buddyjskich eksploracji.

Czy gry są sztuką?

Dlaczego zadaję to pytanie? Bo chcę, by gry były sztuką. Dlaczego chcę, by gry były sztuką? Przecież wiem, że są!

ZASTANAWIA SIĘ ➡ **MYUTSUU**

Rys. Agata Fogtman

Nie potrzebuję niczyjego werdyktu, by czerpać z gier to, co w nich najlepsze. Mogę z dumą nazwać gry swoją pasją. Nie zawsze tak było... Musiałem to sobie wypracować, samemu się przekonać, że interesowanie się grami nie jest w niczym gorsze od interesowania się historią, poezją czy sportem. W końcu udało mi się dojrzeć do przyznania się samemu przed sobą: „Tak! Gry to moja pasja!". Ale...

Pojawił się wtedy jeszcze jeden szkopuł. Gdy zacząłem otwarcie o tym mówić, okazało się, że musiałem bronić tej pasji w dyskusjach, ponieważ oceniano moje zainteresowania nie jako wartościowe, ale raczej infantylne.

W pewnym sensie to rozumiałem. Gry były i są wciąż jeszcze nowym medium, któremu środki masowego przekazu przykleiły etykietkę głupiutkiej zabawy i straty czasu. Dlatego, jako gracz, chciałem nauczyć się nie tylko bronić przed takimi opiniami, ale też umieć dowartościować gry w oczach swoich rozmówców.

Dlatego właśnie piszę ten tekst. Od dawna już czułem potrzebę podzielenia się tymi rozmyślaniami. Mam cichą nadzieję, że ten artykuł pomoże osobom grającym, które nie do końca wiedzą, jak traktować swoją pasję i jak o niej mówić.

Myślę, że jednym ze sposobów, jakimi można zmienić postrzeganie gier przez osobę, która nie miała z nimi wiele wspólnego, jest przyrównanie ich do innych dziedzin sztuki. Pokazanie, jak blisko siebie stoją i jak wzajemnie się przenikają.

Sztuka gier wzbudza debaty i zapewne tak pozostanie. Nie znaczy to jednak, że ten temat należy zamieść pod dywan.

Czym jest sztuka?

Aby rozmawiać o sztuce gier, należy przede wszystkim przyjrzeć się samej sztuce i jej definicji, czy raczej licznym definicjom i redefinicjom. W tym celu zaserwuję „przyśpieszoną" historię sztuki. Z góry przepraszam osoby, które tę dziedzinę studiowały, zapewne z ich perspektywy to, co zaraz zrobię, będzie uproszczeniem, a miejscami herezją. Dlatego niech ten artykuł posłuży jedynie za drogowskaz, a ja gorąco zachęcam do samodzielnego przestudiowania tematu w szerszej perspektywie.

W dyskusjach na temat sztuki gier największe nieporozumienia zauważam właśnie w kwestii samego postrzegania sztuki. Ma to oczywiście swój czar, w końcu ile osób, tyle definicji sztuki – co tylko uwypukla, że każdy człowiek

jest wyjątkowy. Jednak ten chaos wynika również z samej burzliwej historii sztuki.

Z samą sztuką było tak, że to, co za nią w jednym wieku uważano, w następnym już niekoniecznie. Przy tym założeniu będzie nam łatwiej zbudować w miarę stały grunt pod dalszą dyskusję oraz uniknąć niepotrzebnych nieporozumień.

Przy okazji możemy się zastanowić – czy gdyby dzisiejsze gry pojawiły się w innych epokach (za pomocą wehikułu czasu lub innego ustrojstwa), to czy można byłoby je podpiąć pod dawniej obowiązujące definicje?

Starożytność

W starożytności uważano, że sztuka wywodziła się z pracy rzemieślniczej, niemałych umiejętności i specjalistycznej wiedzy. Z tego powodu zarówno pracujący w kuźni kowal, jak i wprawiony w boju strateg byli takimi samymi artystami jak rzeźbiarz czy malarz.

Co ciekawe, poezja nie była uważana za sztukę, ponieważ twierdzono, że to kwestia chwilowego natchnienia i muz, a nie warsztatu czy wiedzy. Dopiero Arystoteles wpłynął na zmianę jej postrzegania.

Zatem, gdyby gry elektroniczne były tworzone w starożytności, to bez wątpienia weszłyby w poczet sztuk. Wiadomo, że nie są one wytworem chwilowego natchnienia. Są efektem długoletniej pracy i często niemałych umiejętności wielu ludzi (dziesiątek, jeśli nie setek) pozwalających na powstanie pełnoprawnej gry.

Średniowiecze

W średniowieczu dziedziny uznawane za sztukę już raczej nie podlegały zmianie, w tym okresie próbowano je usystematyzować. Pojawił się podział na sztuki wyzwolone, które były płodem umysłu, i sztuki pospolite, wymagające siły rąk. Te pierwsze uważano za lepsze, doskonalsze, a w ich skład wchodziły: geometria, logika, retoryka, muzyka, arytmetyka, gramatyka i astronomia.

Nie uważam tego podziału za sprawiedliwy, ale spróbuję się do niego odnieść. Trudno nazwać gry tworem pracy fizycznej, kreowanie ich przede wszystkim zajmuje umysł (a dopiero następnie ciało). Zaczynając od pomysłu i wizji, poprzez umiejętności pisania, programowania, komponowania, zarządzania, planowania i tak dalej – tworzymy grę.

> Czy gdyby dzisiejsze gry pojawiły się w innych epokach, to czy można byłoby je podpiąć pod dawniej obowiązujące definicje?

Renesans i barok

W tych epokach zaczęła się walka o udowodnienie wyższości takich dziedzin sztuki jak malarstwo, rzeźba czy poezja nad innymi. Domagano się wręcz wyodrębnienia ich od reszty dziedzin (łącznie z muzyką), ponieważ dostrzeżono, że różnią się one od nauki i rzemiosła – choć nie potrafiono jeszcze określić, na czym właściwie ta różnica polega. Malarstwo i rzeźbiarstwo wyjątkowy status zawdzięczają geniuszowi Leonarda da Vinci czy Michała Anioła, którzy swoją pracą udowodnili, jak wymagające i skomplikowane są to dziedziny.

Nietrudno znaleźć w grach dorobek malarstwa i rzeźbiarstwa. Wystarczy spojrzeć na concept arty czy grafikę 3D przy niezwykle skomplikowanych modelach... Do tych porównań wrócimy w kolejnych artykułach, cierpliwości!

Oświecenie

Nareszcie! Docieramy do wyodrębnienia w sztuce tzw. sztuk pięknych, których głównym zadaniem

było przede wszystkim cieszyć zmysły. Czyli zwyczajnie – podobać się. Wpływ oświecenia na nasze postrzeganie sztuki jest nieprawdopodobny. Wyniósł on na piedestał malarstwo, rzeźbiarstwo, muzykę, taniec, teatr, architekturę i poezję.

Myślę, że dziś większość ludzi poproszonych na ulicy o to, by wymienić dziedziny sztuki, prędzej poda którąś z powyższych – niż na przykład mechanikę samochodową, astronomię czy wróżbiarstwo.

Z tego właśnie powodu to sztuki piękne będę porównywać z grami i dokładniej przyjrzę się, jak bardzo wpływają one na ich obecny kształt.

Wiek XIX

XIX wiek sprawił, że nie postrzegano już jako sztuki rzemiosła (kowalstwo, bednarstwo) ani nauk (strategia, matematyka, astronomia), a tym bardziej zapomniano o tych znacznie rzadziej praktykowanych (ogrodnictwo, lalkarstwo). Jednocześnie, popularne akademie sztuk i studia z nimi związane ograniczały się zazwyczaj do sztuk plastycznych, umniejszając nierzadko wartość reszty „panteonu". Skoro przestano o nich nauczać, to świadomość o ich artystycznych korzeniach stopniowo znikała.

Wiek XX

W XX wieku pod definicję sztuki zaczęły podlegać fotografia i film. Na początku nie był to proces łatwy. Te bardzo świeże zjawiska potrzebowały czasu, by wywalczyć sobie miano sztuki. Pod tym względem sytuacja fotografii i filmu wtedy przypomina dzisiejszą sytuację gier.

Jednocześnie wśród osób zajmujących się badaniem, teorią i przede wszystkim twórczością było widać zamieszanie wokół tej niesprawiedliwie ich zdaniem zawężonej definicji sztuki,

zapoczątkowanej przez uchwalenie sztuk pięknych i usunięcie rzemiosł czy nauk.

Ten bunt zaowocował... totalnym boomem w tym temacie, gdy na salony wjechała (cała na biało) antysztuka! Czyli takie twory jak surrealizm, dadaizm, performance czy pop-art. To one rozerwały ramy, które starały się narzucić oświecenie i wiek XIX. Brak tych fundamentów i sprawienie, że sztuką stało się praktycznie wszystko (np. banan, plama, płacz), czujemy nawet dzisiaj, gdy próbujemy o niej dyskutować.

Antysztuka narzuciła na każdego i każdą z nas ciężar tworzenia własnej subiektywnej definicji, którą następnie zderzamy z definicjami innych osób (za: Tomasz Samołyk, Sztuka współczesna, YouTube, 18 września 2017 roku).

Sztuka teraz

Sonda uliczna przeprowadzona przez kanał ToSamoMiejsce pokazuje wspomnianą różnorodność definicji sztuki:

- „Sztuka to coś... co nie jest chlebem powszednim".
- „Jest to wyraz czyjejś wyobraźni".
- „Sztuka? To jest malarstwo... Eee co może być? Malarstwo...".
- „Sztuka jest sposobem na przekazanie czegoś. Może to być obraz, film, instalacja...".
- „Coś takiego wyjątkowego".

Przez tysiąclecia dyskutowano na temat sztuki. Budowano jej definicje w jednej epoce, by w następnej przystosowywać je do nowo powstałych tworów – i tak w kółko. Dzisiaj więc warto zastanowić się, jakie miejsce w obszernej rodzinie sztuk zajmują gry.

Dlatego chcę napisać serię esejów pt. „Czy gry są sztuką?". Przyjrzę się dokładniej wybranym obszarom twórczości, takim jak literatura, muzyka, sztuki plastyczne, rzeźbiarstwo i film, które dzisiaj powszechnie uważa się za sztukę. Są to dziedziny wszechobecne w życiu współczesnego człowieka, dzięki czemu dużo łatwiej się do nich odnieść niż do na przykład tańca, matematyki czy retoryki.

Następnie porównam je – w ich współczesnej formie – z grami. Mam nadzieję pokazać, jak podobne są do siebie, a przy okazji przedstawię ciekawe zależności, jakie między nimi zachodzą.

Liczę na to, że będzie to ciekawy eksperyment, który uwypukli piękno gier i pokaże, jak bliskie stosunki łączą je z innymi dziedzinami sztuki.

Ilustracje stworzyła Agata Fogtman. Więcej jej przepięknych prac jest na instagramie: @agatafogtman

Do poczytania:

- Lipińska A., Podstawowe pojęcia historii sztuki.

➡ **SERGIUSZ „MYUTSUU" SEYDA**
nerd o wielobarwnym umaszczeniu z mocnym pigmentem gracza. Miauczy, że nie ma z kim wygadać się na temat gier, więc z chęcią skrobie pazurem teksty. W przerwach od wylegiwania się w łóżku rozrywa na części pierwsze twory kultury. Najczęściej można go spotkać w jego ciepłym zaułku na YouTubie nazwanym MyuGames.

BezSensu1

Hel, akacja, Schopenhauer.
Z lewa Razem, w Jeruzalem.
Międzymordzie w komputerze,
Trójka pogrzeb ma w eterze.
Stawy bolą, żaba skacze,
wódka w barku w drzwi kołacze.
Paradygmat nosi kule,
smarttelefon tulisz czule.
Kopsnij szluga, włącz myślenie,
w napis w żółci wierzą lenie.
Chmura łączy, tablet świeci,
chmara dzieci siedzi w sieci.
Retro boje, fala w wojsku,
miłość, Covid, smok na Śląsku.
Finta w fincie uświęcona,
bezsens, hucpa, czyjaś żona.
I ostatni wers nadchodzi,
stara pralka lepiej chłodzi.

➡ **TOMASZ WIŚNIEWSKI**
Sle3va, ten od wpisów bez sensu, acz z przesłaniem.

Zilcarz

➡ ARTUR OLCHOWY

Rys. Igor Myszkiewicz

Czytelniku, Czytelniczko,

zapraszam Cię do zapoznania się z utworem „Zilcarz", który napisałem zainspirowany artykułami historycznymi i etnograficznymi traktującymi o wilkach na Mazurach. Mam nadzieję, że miło spędzisz czas, a historia przypadnie Ci do gustu.

Opowiadanie pierwotnie ukazało się w antologii „Fantazje Zielonogórskie X" wydanej przez Zielonogórski Klub Fantastyki „Ad Astra".

Życzę smacznego
Artur Olchowy

Adasiowi, co go w Zielonej Górze zilkołkiem próbowaliśmy uczynić.

Już trzeci raz tego roku zwracamy się do Waszych Dostojności z błaganiem o poparcie naszej sprawy przed Jego Wysokością. Nie wiemy, czy pisma docierają do oczu Wysokiego Konsystorza – czy nie giną wraz z posłańcami w puszczy lub na bagnach. W takim wypadku bolejemy nad stratą istnień krześcijańskich porwanych przez leszych i insze topniki. Nadal to jednak lepiej, niż nam sądzić, że odmawiacie nie tylko pomocy, ale nawet odpowiedzi.

Jak pewnie Wam wiadomo (choć to tylko nasze przypuszczenie), zilcy gromadzą się na uroczyskach, gdy mija Mikołaja – patrona wszelkiej bestii[1]*. Tam namawiają się, szepcą i knują, jak dobrym krześcijanom szkodę czynić, jak bydło, psa, a nawet dziecko porwać i życie z niego wyszarpać. I to nie z głodu, co od Boga danym prawem jest każdego drapieżcy, gdyż one syte. Nakazalim, pod groźbą osiemnastu fenigów grzywny lub dwóch niedziel w lochu, padlinę nosić na nęciska i tam porzucać, a na wilcze doły i ogrody uważać, żeby se czego nie połamać albo gorzej. Toteż zilkom karmy nie brakuje, bo zeszłego lata i na jesień tamtego roku dużo naju cielaków padło, jak się bagno rozlało na pastwiska, sraczkę przynosząc stadom, a ludziom cholerę. Wszelkie truchło wtedy na nęciska wozilim, a tylko ludzi pogrzebalim na górce za jeziorem, a nie przy kościele, żeby się na zdrowych choleryczne wonie nie przenieśli.*

List do Jego Wysokości wysłalim na Purificationis Beatae Mariae Virginis, w największe mrozy, z błaganiem o delegowanie innego Wolfmajstra, naju zilcarzem zwanego. Tego właśnie dnia plugawe sabaty rozłażą się po świecie zło czynić. Śnieg nas na szkodę i zgryzotę znów tamtej zimy nie obsypał, za to drogi były przejezdne, a i rzeki wszelkie aż po dno zamarźli. I niedługo było czekać, bo już w nocy po Scholastyce wpadła banda dziewięciu zilców do miasta. Nijak krzyków, machania cepami, widłami i ogniem się nie strachali, ale prosto na rynek wbiegli pod sam Rathaus, skąd świniaka porwali[2]*. I nie pierwszego z brzegu, ale najkrąglejszego, karmionego kapustą*

1 Według tego przesądu 6 grudnia bydło nie może przestąpić progu obory, inaczej przez cały rok wilki będą je atakować.

2 Zdarzenie miało miejsce 25 stycznia 1728 roku w Ządźborku (Mrągowie).

i pojonego wodą po gładzeniu chleba. Burmistrz wezwał wówczas miejskiego Wolfmajstra, żeby obławę urządził, jako prawo nakazuje. A ten lofer nie tylko nazerty był, że ledwo na nogach stał, to żadnego polowania prowadzić nie zamierzał, nikogo do nagonki nie wyznaczył! Nawet słyszeć nie chciał, w której leśniczówce sieci i fladry trzymamy! Nadto rajców brzydko przy dzieciach ponazywał, gesty obraźliwe i wstydliwe pokazał i w las poszedł, jakby sam mógł się z całą watahą porachować.

Sił żadnych na niego nie mamy, bo on na rencie Jego Wysokości, i to stu marek! Toteż tylko z Königsberga można go odwołać.

Drugi list posłalim na roztopy, gdy przybył do naszej parafii młody pastor, a żadnej odpowiedzi ze stolicy nie przywiózł, choć miał przy sobie listy polecające i od Jego Wysokości, i od Waszych Dostojności. Dlatego niezwłocznie napisalim ponownie, tym razem do Pałacu i do Wysokiego Konsystorza naraz, że tu pilna potrzeba zilcarza robotnego jakiego przysłać, bo się zilcy na przednówku już w ogóle człowieka nie boją. Dziecka rybaka Schlonsacka i Żyda Liedkego porwali i na kolejne się czają, bo jak Wam wiadomo (choć to tylko nasze przypuszczenie), zilcy, skoro ciała człowieka mile zasmakują, omijają zwierzęta i ludzi napadają. Strach zapanował w całej parafii, ludzie niektórzy to nawet Pana Boga nazywali słowami obraźliwemi, a pięścią i widłami w niebo wygrażali. Do tego zilcarza zamknąć musielim w lochu, bo ludzie na nim samosądu chcieli dokonać za nieróbstwo i pijaństwo. Dopiero gdy wytrzeźwiałego wypuścilim, w las poszedł i tak go trzy dni nie było. Ludzie trochę się uspokoili, ale bestie nadal wyły po nocach przy pełnym księżycu.

I na ten list również żadnej odpowiedzi nie dostalim.

Niniejszą, trzecią prośbę ślemy w Ascensionis, kiedy naju sieje się ogórki. Nie minął tydzień, odkąd zilcy stado Wielmożnego Pana Beyera napadli i wydusili trzy tuziny bydła, cielaków nie licząc. Poduszonych nawet nie zjedli, co tylko dowodzi zwykłej ich złośliwości, bo dziki pies to bestia najszkodliwsza, ale o tym to już Wam wiadomo (choć to tylko nasze przypuszczenie).

W sumie od Trinitatis roku minionego do Trinitatis biegnącego tylko w naszej parafii utracilim trzysta dziewięć sztuk koni i siedemdziesiąt siedem źrebiąt, nadto sto dwanaście wołów, krów i trzy tuziny cielaków. Świń, merynosów, kóz i psów nawet nie liczym. Bydła brakuje najbardziej. Nawet żadnej sztuki nie zostało, co by ją starą wiarą ludzie na kamieniu w ofierze pruskim dziabłom złożyli, jak to zawsze tego świętego dnia robili. Dzieci to na razie zilcy porwali dwójkę, do tego już siedmiu drwali pogryzionych na wścieklicę pomarło, a w świętego Jana to watahą całą jegra napadli i rozszarpali, że nie było czego zbierać. Dlatego błagamy i prosimy o zmiłowanie, bo nam tu przyjdzie z głodu poumierać. Uproście w naszym imieniu Jego Wysokość, by nam Wolfmajstra sprowadził, ale nie legata, lofera i pijaka, tylko jakiego robotnego.

P.S. Prosić też będziemy za Rajcami, aby i w tym roku miasto z podatku zwolnić przez klęski, jakie spadają na nas i na nasze plony, a także by pomocą dla najuboższych na chleb wspomóc, bo naju w kasie nic już złota nie zostało. Ale to w oddzielnym piśmie ujmiemy.

P.S. II. Proboszcz nasz polecił nadto przekazać, że Gontschorowska, bziałka burmistrza, co pomaga przy ochronce, też podejrzana, bo się z zilcarzem prowadza przy ludziach i z nim pije, a dzieciom mówi, że Boga nie ma. Ale to w kolejnym jeszcze piśmie ujmiemy.

Uniżenie,

Casimirus Maletius[3], pisarz miejski
przy Radzie a Pierwszy Sędzia w Sdroiewen,
naju Stroyeffkami zwanym, w imieniu
Burmistrza (choć treści całej nie poznał),
Rady i Proboszcza

3 Maletius był pisarzem miejskim w Piszu. Przyjął u siebie kupca z Gdańska, od którego zaczęła się epidemia dżumy w latach 1709-1711, która zredukowała liczbę mieszkańców miasta z 1200 do 16. A Zdrojewo to nazwa fikcyjnej miejscowości, nawiązująca do niegdysiejszej wsi położonej nieopodal Kumielska w powiecie piskim (53°45'N 21°17'E). Wieś, jak wiele innych, wymarła w trakcie tamtej epidemii i nigdy nie została ponownie zasiedlona. Ponoć w okolicy po polach wędrują duchy zmarłych wówczas mieszkańców.

Kopyta masywnego, długowłosego siwka zapadały się w błoto po napięstki, choć w gospodzie groblę polecono jako najlepszy trakt w okolicy. Siedzący w siodle mężczyzna bujał się zmęczony i po ludzku znużony podróżą, a ocykał tylko wtedy, gdy pchły, które oblazły go zeszłej nocy, wgryzały się boleśnie akurat pod łopatką, gdzie nijak nie mógł dosięgnąć, szczególnie szczelnie opatulony kocami. Zaklął szpetnie, spiął kilka razy ramiona i znów osiadł ciężko, wbijając wzrok w pokryty cienkim lodem nasyp uformowany z piachu, błota i torfu. Bagna rozciągały się po obu stronach grobli. Niekiedy z zamarzniętej wody wystawał krzew w kształcie zbliżonym do kuli, raz czy dwa ponad powierzchnię wyrosła łąka otoczona trzciną. Od czasu do czasu podróżny mijał zagajnik ułamanych brzóz, wyglądających jak białe żebra potwora, który pożarł Noego. Spowijająca okolicę mgła rozeszła się trochę, ale słońce miało się dziś nie pokazać. Śniegu nie było, za to szron i szadź obsiadły brunatne badyle i suche źdźbła bagiennych traw.

Pierwszą oznaką, że dojeżdża do celu, był smród obornika, dołów rzeźnych i warzonego z nie wiadomo czego piwa. Dopiero potem przebiła się woń dymu z żywicowego drewna oraz przyjemny zapach wędzonego boczku, węgorza i kiełbasy z dziczyzny. Humor jeźdźca nagle się poprawił, choć żołądek skręciło mu boleśnie. Ucieszył się, że w zapchlonej oberży zrezygnował ze śniadania. Teraz zamierzał sobie tę stratę powetować.

Kaźmierz od Małeckich, sędzia i zarazem pisarz miejski, był chudym, siwym, przygarbionym człowiekiem. Twarz miał przeciętną, oczy inteligentne, mimikę flegmatyczną. Wzrok przyciągała jego ciągle wędrująca niemal do nosa dolna warga. Gościa powitał po niemiecku chłodno, poczęstował po polsku na bogato.

– Straciliśmy już nadzieję… – powiedział powoli i nalał gościowi lokalnego piwa do dużego srebrnego kielicha z otoczonymi drutem zagłębieniami po wydłubanych kamieniach.

Podróżny szarpał zębami naprzemiennie pęto kiełbasy i pajdę ciemnego chleba. Upił solidny łyk, skrzywił się, ale nie wypluł.

– Co to?

– To? To owsiane. Ale łopianem goryczkujemy[4], bo tego roku bieda straszna. Na łatanie dachu w ratuszu nie ma, ba, nawet sieroty w ochronce głodne, to co będziemy na chmiel…

– Niezłe. Jak na łopian.

Nasyciwszy pierwszy głód, przybysz rozejrzał się po izbie. Budynek wyróżniał się spośród miejskiej zabudowy zarówno pod względem wielkości, jak i wykonania, ale i tak z zewnątrz wyglądał biednie, a w środku wręcz nędznie. Jedynie stojąca przy ogniu dębowa ława była nie tylko praktyczna, lecz także ładna, ozdobiona przez całkiem sprawnego snycerza motywami płowej zwierzyny wybiegającej z lasu. Ustawione pod ścianą wygniecione łóżko, osypujący się klejony piec i rozpadający kufer na odzież były już tylko praktyczne. Gospodarz nie musiał przekonywać, że miejscowych nie było stać na chmiel, a zapewne też i na tytoń.

Pisarz patrzył na rozmówcę z nieskrywaną ciekawością. Przybysz był już niemłody, niósł ze cztery krzyże. Wysoki, postawny, kiedyś musiał być siłaczem, a może nadal nim był? Trudno było ocenić przez zbyt duży niemiecki surdut, w którym wręcz tonął. Co chwilę musiał też poprawiać rękawy, które przeszkadzały mu w jedzeniu. A jadł w sposób nieokrzesany, łapczywie, zupełnie inaczej, niż można by się spodziewać po mieszkańcu stolicy.

– Jak tam pogoda w Königsbergu, zima już przyszła? Bo naju dopiero przemroza chwyta – zagaił gospodarz.

– Co? Nie wiem, ja prawie tutejszy, z Łuczan[5]. Z Königsberga tylko pismo przyszło, że mam do was jechać, bo tu ponoć wasz wolfmajster słabuje.

---

4 Miasteczka miały swoje „browary publiczne", tzn. przybytki, w których za drobną opłatą można było nawarzyć sobie piwa z własnych surowców. W okresach biedy chmiel zastępowano łopianem, zachowały się nawet receptury, m.in. z browaru ządźborskiego (mrągowskiego) i jańsborskiego (piskiego).

5 Przedwojenny Lec polskojęzyczni Mazurzy i Polacy nazywali Łuczanami. Nie rozumiem, po co po wojnie zmieniono tak ładną nazwę na Giżycko.

Małecki skrzywił się, niby potwierdzając, a jednak nie do końca. Mlaskał przez chwilę, nim udało mu się sformułować wymijającą odpowiedź.

– Zilki strasznie szkodzą.

– A naju nie szkodzą? Śniegu nie ma. – Przyjezdny kiełbasą wskazał małe okienko. – W śnieżną zimę całe watahy można w jeden dzień wytropić i nagonić, a tak? Doły pozostaje kopać i ogrody ustawiać.

– Toż kopiemy – z urazą w głosie zapewnił pisarz. – Sami, choć to nie dla nas robota. Padliną nęcimy, nawet ogrody naprawialim, a ten nasz zilcarz nagonki żadnej nie organizuje, więc tylko butwieją na deszczu i mrozie! Raz drwale chcieli sami pogoń zorganizować, jak duże stado namierzyli, to zakazał. Gadał, że byśmy siebie prędzej powystrzelali niż tych zilców, choć naju strzelce wprawne, celne. Dzika z człekiem nie pomylą jak niektóre w Zachodnich Prusiech. My nie chcemy ich wszystkich wybić, bo wtedy płowe w szkodę będą włazić, młodniki wyżerać, paszę bydłu odbierać. Zilk w lesie potrzebny jak bóbr, mrówka i mysz, ale z umiarem! Równowaga musi być, zilków nie za mało i nie za dużo, w sam raz: equilibrium. A żeby tak było, zilcarz musi robić swoje.

– Czyli polowań nie organizuje, o doły nie dba, a kasę bierze?

– No bierze.

– Psia kruc, widać ja zrobiony z uczciwego krzestnego. Zamiast się do was tłuc, mogłem w chałupie siedzieć i rentę brać. No, ale widać wasz zilcarz innego miał krzestnego, pewnie jakiego łachmytę i lofera. – Gość zaśmiał się i gestem poprosił o dolanie piwa, co sędzia uczynił drżącą ręką. Łuczanin zachłysnął się gorzkim napojem, beknął głośno i kilka razy uderzył pięścią w mostek dla przywrócenia oddechu. – Gdzie go znajdę?

– Teraz? Nie wiem. W puszczę poszedł po niedzieli. Ale pewnie dziś wróci, bo on po każdym pogrzebie idzie na wódkę.

– Pogrzeb macie?

– Kowalowi bziałka wczoraj umarła. Suchotnica. Jeszcze niepochowana, a już mu sąsiady córki rają, wstydu żadnego, psia jucha.

Przybysz pokiwał głową, ale bez przekonania, i ponownie zatopił zęby w wędlinie. Niektórzy duchowni lubili dużo gadać, dlatego nie zamierzał iść na pogrzeb o pustym żołądku.

Uroczystość była skromna, podobnie jak skromna była toga pastora, szara i postrzępiona, sama świątynia z drewnianą wieżą, stojący przed ołtarzem katafalk z nieheblowanych desek i nieduży choleryczny cmentarzyk na pagórku pośrodku bagna. Kondukt milczał i szczękał zębami. Słomę z materaca zmarłej spalono na rozdrożu, żeby zaraza od niej nie zawróciła, niebo ostrzelano, by nie zawrócił duch, wieczorem w karczmie wzniesiono kubki za pamięć po nieboszczce, jak kazał obyczaj.

W pomieszczeniu śmierdziało od dymu, który utykał w nieczyszczonym kominie, od łojowych świec i niemytych ciał. Tutejszy zilcarz siedział w rogu, wyraźnie dystansując się od reszty. Towarzyszyły mu do połowy już opróżniona butelka i gliniany kubek. Konopną koszulą na plecach przykleił się do drewnianej ściany wciąż krwawiącej żywicą. Przepił do młodej, ale z jakiegoś powodu już posiwiałej kobiety w czarnej sukni i czepku niedbale okrywającym pukle kręconych włosów w kolorze stali.

Przyjezdny podszedł do nich i na blacie zbitym z niedokładnie oheblowanych desek postawił butelkę okowity, nim przysiadł na ławie. Nie zważając na fakt, że mężczyzna spojrzał nań nieprzyjaznym wzrokiem, a kobieta zignorowała, podniósł napełniony kubek i przepił do niechętnych towarzyszy. Nie przełamał tym lodów.

– Nikt cię nie zapraszał. – Głos zilcarza był lekko chrapliwy i wysoki, niepasujący do krępej sylwetki. Przybysz słowa zignorował.

– Ty mnie tu zaprosiłeś, angażując przy okazji mnóstwo ludzi stąd aż po Königsberg. Johann od Czichotzkich[6], łuczański wolfmajster – przedstawił się. Niepodjętą dłoń po chwili cofnął

6 Niemieckie imiona i polskie nazwiska to cecha charakterystyczna mieszkańców regionu w zasadzie do połowy XX w. Wynikało to z faktu, że większość osadnictwa pochodziła z Mazowsza (polskiej korony), a niemiecka (pokrzyżacka) administracja państwowa i kościelna sprawiała, że ludność była zasadniczo dwujęzyczna.

niezrażony. – Mam ci pomóc z zilkami, bo ponoć sobie nie radzisz.

– Słyszałaś o tym? – miejscowy zwrócił się do towarzyszki.

Przytaknęła.

– Małecki kilka razy pisał skargi do stolicy. Mówiłam, że się na ciebie szykuje, że się doigrasz.

Mężczyzna westchnął, jednym haustem opróżnił kubek i wstał energicznie. Był niski, niższy od Czichotzkiego. Mimo młodego wieku już łysiał, jego skórę pokrywały ospowe blizny, rysy miał nijakie, za to tęczówki okrągłych oczu były barwy, jakiej łuczanin nigdy nie widział. Przynajmniej nie u człowieka. Miały kolor jasnego bursztynu.

– No to, kolego wolfmajster, możecie wracać. Nie przydacie się nam, bo my tu zilcarza już mamy. Mnie: Alwina od Kubatzkich, nie Johanna od jakiegoś pętaka. I właśnie wybiera się obejrzeć doły, czy dobrze zaścielone, a potem zbierze ludzi do obławy, jakiej tu nie widziano od lat. Idziesz? – ostatnie słowa skierował do towarzyszki.

– Wróciła. Już mogę.

Kobieta wstała i wolnym krokiem podeszła do stołu, przy którym siedział mocno pijany wdowiec. Nagabywało go trzech mężczyzn, którzy w sposób głośny i sprośny zachwalali walory swoich córek lub równie wulgarnie krytykowali potomkinie konkurentów. Przepchnęła się do kowala i bez ostrzeżenia, gdy tylko podniósł wzrok, uderzyła go pięścią w twarz. Postawnego brodacza aż cofnęło od ciosu. Odruchowo chwycił oburącz za krawędź ciężkiej ławy, dzięki czemu nie spadł na klepisko, a tylko odchylił się w tył. Potylicą wytrącił stojącemu za nim mężczyźnie gliniany kufel z piwem. W karczmie zamilkły wszystkie rozmowy, śpiewy i śmiechy. Słychać było tylko trzask kuchennego ognia pożerającego sosnowe szczapki. Kowal obiema dłońmi przykrył nos. Spod palców po chwili pociekła krew, zalewając mu usta i utykając w brodzie gęstniejącym skrzepem.

– Ze mną jesteś kwita – powiedziała spokojnym, trochę smutnym głosem. – Z bziałką jeszcze się policzysz. A wy, dalej, handlujcie mu córki jak świniaki! Która ma lepsze cycki, która lepiej wygodzi, której mniej z gęby śmierdzi! I też potem udawajcie, że nie widzicie, jak chodzą obite. Bo przecież kowal to taka dobra partia! Najlepsza w mieście! Aż w końcu i je będziecie chować, i łgać, że na płuca zeszły albo inną cholerę. Wszak tamtej jesieni tyle pomarło.

Nikt nie zareagował. Przyjezdny obserwował scenę, zafascynowany właśnie tym brakiem reakcji. Kim była, skoro mogła sobie tak pozwalać? Nim niezatrzymywana, niezaczepiana kobieta doszła do wyjścia, ruszył za nią miejski zilcarz. Czichotzki doskoczył do mężczyzny i chwycił go za ramię.

– Czekaj. Nie możesz sobie tak po prostu pójść. Mam prawo zmusić cię do współpracy! Wtrącą cię do lochu, jeśli odmówisz. To polecenie samego króla[7]...

– Zabierz łapę, kolego, dobrze radzę. – Kubatzki odwrócił się w stronę natręta, a jego oczy zapłonęły na krótką chwilę. Tak krótką, że mogło to być tylko złudzenie. Mimo to łuczanin zwolnił chwyt. Śledzony wzrokiem kilku miejscowych wrócił do stolika i nalał sobie wódki. Resztę zabrał ze sobą.

Lekko pijana para szła na cmentarz wolnym krokiem. Kobieta w żałobnym stroju mruczała coś pod nosem – wiatr niósł jej mowę, ale z tej odległości słowa były niezrozumiałe. Gestykulowała i potakiwała, jakby ktoś jej odpowiadał. Chyba nie był to zilcarz, bo ten milczał, no i szedł tuzin kroków dalej. Kilka razy odwrócił się w stronę śledzącego ich intruza, ale poza tym nie reagował. Na cmentarzu stanęli nad usypanym tego dnia grobem i złożyli ręce.

Chwilę później Alwin od Kubatzkich opuścił otoczony żywopłotem teren, ale nie odprowadził żałobniczki do miasta, tylko ruszył na bagna. Ostrożnie stąpał po zamarzniętej powierzchni,

7 Wolfmeister miał szerokie uprawnienia i podlegał bezpośrednio koronie. Wynikało to ze strat dla gospodarki, jakie powodowała plaga wilków. W 1721 r. król Fryderyk Wilhelm I, po objechaniu ziem korony, napisał: *Więcej w prowincji wilków niż owiec, a najlepsze łąki i pastwiska śródleśne pozostają nieużytkowane z obawy przed wilkami. Ludzie i zwierzęta pozostają w ciągłym zagrożeniu.*

aż zniknął w zaroślach. Czichotzki próbował podążyć tą samą drogą, ale albo był cięższy, albo depnął nieuważnie w cieplejszym miejscu, gdzie lód był słabszy, bo wpadł po pas do zimnej wody. Z pościgiem musiał poczekać, dopóki nie oczyści siebie i ubrań z błota i nie przeschnie.

Następnego dnia zagadywani mieszkańcy powtarzali, że Alwin od Kubatzkich przepadł. Lekko zaziębiony po niespodziewanej kąpieli wolfmajster pytał o niego drwali idących w puszczę, rybaków łatających sieci, handlarki stojące za straganami, Żyda stojącego za szynkiem, młodego pastora odwiedzającego chorych. Nikt nie potrafił powiedzieć, nie tylko gdzie jest, lecz nawet gdzie zazwyczaj przebywał, gdy znikał na dni i tygodnie. Nie wiedział tego również sędzia i pisarz Małecki, do którego łuczanin zaszedł odebrać surdut nadal suszący się na piecu. Gospodarz wykręcał się od rozmowy, załamywał ręce, że wolfmajster jeszcze bestii po bagnach nie tropi, że czas mitręży, gdy watahy stada napadają. Dopiero zapytany wprost o zdarzenie w karczmie odpowiedział mniej więcej na temat.

– Różne rzeczy ludzie o kowalu mówią, ale kto by tam znał prawdę? Może ksiądz? Tyle że i jemu nie każdy wszystko mówi, jak go sumienie nie ukąsi. Nie zawsze traktował swoją bziałkę po krześcijańsku, to prawda, ale to on pierwszy? Przecież gdyby jej źle u kowala było, to by do rodziców wróciła, a przynajmniej księdzu naskarżyła albo do mnie przyszła. Wtedy bym kowala przesłuchał, wyrok wydał, ale skarg nigdy nie było. Sąsiedzi też nic nie mówili, bo to i grzech dobrego takiego parafiana na języki brać. My tu są ludzie cnotliwe, skromne, przez los czasem karane, to prawda, ale krzyż swój dźwigamy. To dobre ludzie, pobożne. Od… – zaczął liczyć na palcach – Od piętnastu lat żadnego procesu tu nie mielim.

– Nie wierzę – głos wolfmajstra intonacją wyraził tę niewiarę. – Ludzie szybko się staczają, jak im nie pokazać, że ktoś porządku pilnuje. To nie tak, że każdy jeden ma prawo wyryte w sercu. A może nie skazaliście nikogo, bo nie miał kto winnych złapać? Może wam nie wolfmajstra trza, tylko policysty, co będzie miał głowę na karku i serce na miejscu, by złych ludzi pod pręgierz przyprowadzić.

Sędzia ponownie przeczesał brodę. Rozejrzał się za dzbanem, z którego mógłby dolać gościowi piwa.

– Może to bieda? – zasugerował drżącym głosem, dolewając napoju do srebrnego kielicha. – Ludzie się bliżej trzymają, jeśli wszystkie mogą pomrzeć na roztopy. Dla dzieci w ochronce na jedzenie brakuje, dach w ratuszu dziurawy…

– To czemu tego kielicha nie sprzedacie, by dzieci wyżywić? Przecie on będzie wart ze dwadzieścia marek. Byłby pięćdziesiąt, gdyby ktoś nie wydłubał kamieni. Jak z kościoła wygląda.

Zapadło milczenie, jakby Małecki nie wiedział, o co chodzi Kubatzkiemu.

– Ten? No… właśnie go jutro na handel wysyłamy, z samego rana.

Wolfmajster dostrzegł, że jego rozmówca się poci, i to nie od pieca, na którym suszył się surdut. Zmienił temat, co sędzia przywitał z wyraźną ulgą, jeszcze nim pytanie wybrzmiało do końca.

– A ta kobieta, co mu w karczmie przylała, to nie za to, że bziałkę bił? Nie wierzę, że ona nie wiedziała. Sam słyszałem, co wykrzykiwała potem, jak już mu krwi z nosa puściła.

– Ona od Gontschorowskich, bziałka burmistrza. Źle się prowadza, nieobyczajna jest, niedobre to towarzystwo dla takich jak wy.

– Nieobyczajna? Rogi mężowi przyprawia?

Pisarz aż się zapowietrzył na to pytanie. Drżącą ręką zmierzwił brodę.

– Skąd taki pomysł! Ze Stroyeffków byśmy taką gamratkę, hen, przegnali! Nie, mężowi wierna, choć to już starzec, co to ustać nie może bez pomocy nawet na nogi, a co dopiero… – Przerwał i zarumienił się, spuszczając jednocześnie wzrok. – Gontschorowska przy ludziach mówi, że Boga nie ma, bo gdyby był, toby zmarłym spokój dał, a tylko żywych karał za grzechy. Zgorszenie takie sieje. Do kościoła niechętnie chodzi, chyba że na pogrzeby. Do siebie gada, ale nie modlitwy…

– I to właśnie robiła, jak szła po pogrzebie z Kubatzkim. Sam widziałem – potwierdził wolfmajster. – Czego tam szuka? Z kim gada?

– Co? Zabobon. Baby mówią, że jest trygierką szpuków. Że szpuki zgubione czemuś w drodze za konduktem do domów wracają, ludzi straszą, nieszczęście przynoszą, śmierć sprowadzają. Same

do swojej mogiły nie trafią, dlatego trygiera im trzeba.

– I że niby burmistrzowa szpuki widzi?

– Tak baby mówią, ale jak to z zabobonem: się człek nie wyzna, co prawda, a co nie. Ponoć jak się kto w piątek urodzi, to go krzcić w niedzielę nie wolno, bo potem szpuki będzie słyszeć i widzieć, i już nigdy spokoju nie zazna, bo mu zmarli będą dupę zawracać. I ja nie wiem, czy Gontschorowska krzczona w niedzielę, ani kiedy się rodziła, choć ją znam od srela, ale sam przy tym byłem, jak zeszłej wiosny po pogrzebie córki Zadrogów mówiła, że się mała zagubiła. Że puściła spódnicę matki, gdy ta za szybko na cmentarz maszerowała. I że przy stole w zajeździe przy nas wszystkich stała, dlatego Gontschorowska musi ją teraz na cmentarz odprowadzić. Nawet do małej rękę wyciągnęła, ale poza burmistrzową nikt żadnego szpuka, żadnej zjawy nie widział[8]. No, ale co z zilkami? – Pisarz zmienił temat, najwyraźniej uznając, że wystarczająco zaspokoił ciekawość gościa.

– Najpierw obejrzę wasze sieci i fladry, czy ich połatać nie trzeba. Ogrody, mówicie, że macie.

– Mamy. Stare, zmurszałe, jak mówiłem. Pomiędzy bagnami Oszczywilki, Dupki i Osranki Kępno na górce. Mapę pokażę.

– Jegra poproszę, żeby mnie zaprowadził.

Pisarz zmarkotniał wyraźnie na te słowa. Westchnął ciężko.

– Zilcy go rozszarpali na świętego Jana. Na strzępy, że choć w grobie skrzynię zasypali jak dla dorosłego, to w pudełku na nici by się zmieściło to, co znaleźliśmy. Tak go rozwlekli po domu i obejściu. A nowego jegra jeszcze nam nie wyznaczyli, bo naju bieda taka, że żaden za ledwo garść fenigów nie chce.

– I mówicie, że nikogo od lat nie sądziliście?

– Ale kogo mam za to sądzić, zilka?

– Kłusowników. Nie wierzę, że miejscowi nie kłusują, skoro nikt lasów nie pilnuje. No dobrze, wezmę mapę – dokończył koncyliacyjnie, widząc zmieszanie na twarzy starca. – Ale i tak najpierw sieci.

– Będzie obława?

– Tak – potwierdził wolfmajster, na co stary odetchnął z wyraźną ulgą. – Uprzedźcie mieszkańców, że wszyscy sprawni mają się szykować do nagonki. Tylko o wścieklicy przypominać, że uważać trza, nie zbliżać się do zwierząt. A wszyscy, co mają jakie karabiny, niech je wyrychtują, ładunków naszykują.

– Poproszę kowala, by nam kul odlał.

Chwilę trwało, nim spod kurzu zalegającego na półkach Małecki wydobył ręcznie sporządzoną, niezbyt dokładną mapę obszaru parafii. Miasto nie leżało w jego środku. Centrum zajmowało przypominające nerkę jezioro, od którego odchodziły dwa cieki, wijące przez rozlewające się na kilometry bagna, oznaczone na karcie poziomymi krótkimi kreskami. Pomiędzy bagnami zaznaczona była polana, a na jej środku dwie kreski tworzyły literę „v", czyli ogród[9]. Tam właśnie Czichotzki zamierzał się wybrać w pierwszej kolejności.

Nikt normalny po zmroku na bagna nie wyrusza, toteż wolfmajster resztkę krótkiego, jesiennego popołudnia przeznaczył na rozpytywanie miejscowych o wilki. W przeciwieństwie do pytań o zilcarza i kowala na te odpowiadali chętnie, wylewnie. Gestykulowali przy tym, przekrzykiwali, przerywali sobie, gdy opowiadana anegdota zawierała oczywiste pomyłki. Wówczas sąsiedzi przybywali gromkim głosem sprostować szanownemu łuczaninowi wszelkie przeinaczenia,

8 Historie o tragarzach duchów były na Mazurach dosyć powszechne. Niedzielaki, bo tak ich zwano, w dorosłości widziały duchy, jeśli urodziły się w niedzielę (lub piątek – zależy od wariantu), a były chrzczone w piątek (lub niedzielę – w zależności od wariantu). Jest co najmniej pięć takich opowieści z różnych miejsc. Najbardziej spektakularna mówi o właścicielu gorzelni z Mikołajek, który wmurował w palenisko pod kotłem opłatek z kościoła katolickiego, żeby klienci przychodzili do niego na wódkę w niedzielę, jak do kościoła. Za to świętokradztwo po śmierci nie mógł trafić na cmentarz i dopiero tragarz wyjaśnił wdowie, że duch nie zazna spokoju, dopóki nie odniosą opłatka do kościoła.

9 Ogrody zbudowane były z dwóch ścian z wkopanych w ziemię pionowo drewnianych bali, które zwężały się na końcu. Zagonione zwierzęta trafiały w pułapkę, na końcu której znajdowali się uzbrojeni ludzie, wilcze doły lub inne pułapki. Budowa konstrukcji była bardzo praco- i czasochłonna.

zmyślenia i po prostu wierutne bzdury. Że wilki nie na bagnach żyją, ale w puszczy, a na mokradłach i torfowiskach tylko na ludzi polują, gdy nieszczęśników topichy z drogi zwiodą, a bestie tylko dopełniają dzieła. Że dziesięciu (tyle, co palców u rąk) doliczono się watah i że wszystkimi nimi włada zilkołek, który siedzi na tronie z mchu pośrodku najciemniejszego uroczyska, tam, gdzie Rybnica wybija ze źródła. Że ten zilkołek to bujda, bo takich stworów nie ma, ale watah to faktycznie jest tyle, co palców, tyle że u stolarza, bo jest ich najwyżej siedem. A siedem to dlatego, że gdy Pan Bóg ziemię i inne dzieła dobre i pożyteczne od poniedziałku do niedzieli tworzył, dziabuł na złość jedną watahę dziennie z błota lepił ludziom na udrękę. Że bzies nie z błota lepił zilców, ale z gnoju, bo z błota to ulepił szerszenie.

Zmierzchało, gdy na horyzoncie od strony puszczy zamajaczyła jakaś postać. Wyglądała jak idący wolnym krokiem człowiek, ale było w jej ruchach coś nieludzkiego. Jakby stawy nóg wyginały się pod złym lub zupełnie przeciwnym niż normalnie kątem. Stała na dwóch nogach i na oko była wyższa niż najwięksi znani w okolicy ludzie. Głowę istoty wieńczyła nie normalna czupryna, ale coś jak sterczące wilcze uszy, oczy zaś świeciły tak, że niejeden świętych przyzwał. Całą też poczwarę porastało futro barwy oparów snujących się nad bagnem. Zebrani na rogatkach ukradkiem zerkali w jej stronę, zbijali się w szepczące z niepokojem grupki, by dodać sobie ducha. Już mieli odchodzić, już niemal strach zdusił w nich ciekawość, gdy ktoś z bystrzejszym okiem krzyknął, że to Kubatzki wilcze truchła niesie. Ulga niemal wybrzmiała w wypuszczonym z wielu gardeł powietrzu. Tłum rozszedł się nieco, zajmując teraz całą szerokość drogi od ściany drewnianego chlewika po wbity w ziemię lipowy słup, ostatnią pozostałość po bramie.

Kubatzki szedł równym krokiem. Najpierw wilcze uszy okazały się czapą z futra zdjętego z łba ogromnego basiora, potężne bary – przewieszoną przez nie ubitą wilczycą z wywieszonym jęzorem wciąż czerwonym od krwi, a ramiona porosłe futrem – uwiązanymi na sznurach dwoma półrocznymi szczeniakami. I tylko oczy zilcarza płonęły złotem jak wtedy, gdy nikt jeszcze nie wiedział, co się do miasta zbliżało.

Przed tłum wyszedł wsparty o laskę burmistrz, podtrzymywany pod ramię przez swoją żonę. Towarzyszył im Małecki. Zilcarz zatrzymał się dwa kroki od nich, lekko skłonił głowę, po czym po kolei zwalił na ziemię wilcze zwłoki. Poruszył ramionami, spiął łopatki, by rozluźnić mięśnie.

– Co to? – Gontschorowski wskazał zwierzęta.

– Umowa. Wataha z Osranek. Wywiązali się.

Burmistrz wolnym ruchem odwrócił się i spojrzał na pisarza, a otrzymawszy od niego potwierdzenie, skinął głową Kubatzkiemu. Wtedy przed tłum wystąpił łuczanin.

– Hola, hola. Jaka umowa? – zaprotestował. – Samica i dwa szczeniaki? Przecież nawet nie zauważycie różnicy, jeśli wam tu biegają całe stada po tuzin dorosłych sztuk! A on tylko jedno gniazdo oczyścił!

Podparty na żonie burmistrz podszedł powoli do przyjezdnego i przyjrzał mu się uważnie. Zgarbiony staruszek miał twarz wychudłą, pokrytą wątrobowymi plamami, ale jego oczy wciąż były żywe, a wzrok przenikliwy.

– Nie jesteś tutejszy, chłopcze – powiedział ciepło brzmiącym barytonem, ale jego oddech śmierdział bagnem. – My tu nasze problemy rozwiązujemy po naszemu. Żeby każdemu dobrze się żyło, w zdrowiu i po bożemu. Nic ci do naszych porządków.

– Przecież sami mnie wezwaliście! Listy do stolicy pisaliście, słaliście ludzi w daleki kraj…

– Żebyś przyjechał i skłonił zilcarza do działania. Poskutkowało, zadziałał, zatem wasza misja, panie Czichotzki, zakończona. Masz naszą wdzięczność.

Łuczanin przeniósł wzrok na Gontschorowską. Uciekła przed jego spojrzeniem, ale wciąż widział, jak jej szczęki pracują. Z jakiegoś powodu na niezadowolonego wyglądał też Kubatzki.

– Nie, panie burmistrz – zaprotestował wypraszany. – Jestem Wolfmeister Jego Królewskiej Mości i na jego rozkaz tu przybyłem, nie wasz. Dlatego naprawię sieci i fladry, obejdę i naprawię doły i ogrody, i ogłoszę nagonkę. A wy, zgodnie z prawem, wszyscy jak jeden stawicie się na obławę: ci bez broni na naganiaczy, a pozostali na strzelców! I z królewskiego rozkazu ostatecznie rozwiążemy problem zilków.

Po przemowie nie odezwał się nikt, nikt nie wiwatował, ale też nikt nie protestował. Mięśnie szczęk Gontschorowskiej nadal pracowały, nadając jej twarzy wyraz naprzemiennie złości i zmęczenia, oczy zilcarza płonęły złotem. Czichotzki wycofał się, nie rozumiejąc biernej postawy miejscowych, wyjeżdżać jednak nie zamierzał, wprost przeciwnie – postanowił tu trochę powęszyć. W decyzji tej utwierdziło go zachowanie mieszkańców, którzy mimo zdobyczy zilcarza zaryglowali, a nawet zabili gwoździmi drzwi obór, zawarli i podparli deskami bramy i furtki prowadzące do obejść, położyli siekiery na gankach, by zło nie miało przestępu przez próg[10]. Tej nocy trwogi ze Sdroiewen nie przegnał nawet wiatr gwiżdżący potępieńczo w szczelinach drzwi i okien, w kominach i załomach murów, zwiastujący nadejście zimy.

Następnego ranka długo debatowali, czy to wataha zemściła się za wczorajsze polowanie zilcarza, czy po prostu od głodu wilki tak są zaczadziałe i ogłupiałe? Jak zeszłej zimy, gdy pod sam ratusz podeszły świniaka porwać. Miejscowi słyszeli szczekanie zaalarmowanych psów, słyszeli ich skomlenie, gdy uwiązane na powrozach nie miały dokąd uciec, niektórzy zapewniali nawet, że dochodził do nich łomot ciężkich łap i odgłos rytmicznego ziajania po szybkim biegu. Nikt za to nie przyznał się przed sąsiadami, że o północy do ich uszu dobiegł rozlegający się na całe miasto krzyk człowieka.

Czichotzki długo patrzył na ciało kowala, a raczej to, co z ciała zostało. W nocy obudziło go ujadanie psów. Sztucer nabił po omacku, z wprawą, niemal instynktownie. Co z tego, skoro dwa kroki od wyjścia z karczmy, gdzie dochodziła poświata z wnętrza, nie dało się dostrzec nic poza gęstą, wręcz namacalną ciemnością. Porwana ze stołu świeca zgasła przy pierwszym gwałtownym ruchu, dlatego klnąc pod nosem, wrócił do swojej komórki i przez chwilę szukał w bagażach lampy. Dalszą zwłokę wywołała niechęć knota do przejęcia płomienia od podsuniętej szczapki. Gdy dotarł na miejsce, było już po wszystkim. Zostały tylko ślady ludzkie i wilcze odbite w miękkim, grząskim gruncie.

Wolfmajster nigdy wcześniej nie widział, by zwierzęta atakowały tak zajadle. Stopa nieszczęśnika leżała w rogu pomieszczenia oderwana w kostce, w udzie ziała krwawa dziura otoczona poszarpanymi mięśniami, kości prawego przedramienia były zmiażdżone, palce wilki chyba pożarły. Twarz również była niekompletna. Imponująca broda w większości leżała przyklejona do podłogi płatem skóry, zęby wystawały spod rozerwanej wargi, czerwoną pustką ział oczodół. Bestie przegryzły nawet kowalski fartuch z grubej, wyprawionej świńskiej skóry. Dostały się do wątroby, którą zjadły, i do jelit, które rozwlekły na klepisku. Nienaruszona była tylko klatka piersiowa. Śmierć nie nastąpiła szybko. I z pewnością konanie było tak bolesne, jak tylko mogło. Jakby wilki celowo sprawiły mężczyźnie cierpienie – wolfmajster potrząsnął głową, by wyrzucić tę absurdalną myśl. Podniósł się z kolana, podpierając na dubeltowym ciężkim sztucerze. Nabita zbyt późno broń nie przydała się do obrony mieszkańców.

Blady jak ściana pisarz stał w progu kuźni i coś pracowicie notował, mocząc co chwilę pióro w wiszącym na szyi granitowym kałamarzu. Przybysz podszedł do niego wolnym krokiem, ocierając czoło z potu. Ściany kuźni wciąż trzymały ciepło wygasłego pieca.

– Tu się dzieje coś dziwnego – powiedział przyciszonym w obliczu śmierci głosem. – Zilcy się tak nie zachowują, to nie były zwykłe zwierzęta.

– Tak właśnie do stolicy pisałem. Że to bestie najgorsze, że skoro ciała człowieka mile zasmakują, omijają zwierzęta i ludzi napadają. Naszego jegra też tak, no, tego... porozrzucały – gęsim piórem wskazał pobojowisko.

– W lesie?

– Tak. W leśniczówce.

– Tam trzymacie sieci? To stamtąd zacznę – odpowiedział, gdy pisarz kiwnął głową potwierdzająco.

10 Powszechnie stosowanym amuletem ochronnym było żelazo, a zatem siekiera jest tu przede wszystkim dużym kawałkiem elementu chroniącego przed złem.

Z komórki na piętrze karczmy, gdzie nocował, zabrał długi nóż z rękojeścią z rogu sarny, bartniczą uprząż i olejową lampę. Na parterze kupił jeszcze prowiantu na cały dzień, wybierając wonne szynki i wędzony boczek, i ruszył w stronę puszczy. Zatrzymał się jednak już na rogatkach i trwał tak zamyślony. Po chwili zawrócił do miasta, skręcił przy jatce, od której dobiegał smród odpadów rzeźnych, i prawie biegnąc, dotarł do kuźni. Zatrzymał się przed wejściem i uważnie przyjrzał zamkowi. Trzeba przyznać, że zabity brodacz miał talent. Stalowa gałka na prawym skrzydle bramy była bogato rzeźbiona i pośrodku inkrustowana brązem, natomiast by je otworzyć, należało złapać za równie pięknie wykuty uchwyt. Kształtem przypominał węża. Od wewnętrznej strony miał cienki, wypolerowany od lat używania spust, który podnosił znajdujący się po wewnętrznej stronie skobel. Wolfmajster był przekonany, że otwarcie bramy było dla wilka niewykonalne.

Leśniczówka stała niemal przy samej drodze, równie grząskiej i równie wysoko położonej na grobli jak ścieżka, którą przybył do Sdroiewen. Niewielki domek, zbudowany z ostruganych, pobielonych belek, z dwuspadzistym dachem krytym trzciną, stał pośrodku niewielkiego wzniesienia. Z grobli można było się do niego dostać chybotliwym drewnianym mostkiem bez poręczy. Czichotzki przeszedł przezeń ostrożnie, szeroko rozkładając ręce. Teren wokół budynku był zaniedbany, co nie dziwiło, biorąc pod uwagę, że od dłuższego czasu nie było tu gospodarza. Ślady na ziemi wskazywały, że przychodziły tu zwierzęta, głównie gryzonie i bobry. Wilczych śladów nie dostrzegł, ale też zbył tę obserwację wzruszeniem ramion. Atak miał miejsce tak dawno, że nawet najbardziej doświadczony tropiciel by nic nie znalazł, poza tym wilki zwykle unikają ludzi i ich siedzib. Zwykle – powtórzył w myślach i ruszył w stronę leśniczówki. Tu konstrukcja zamka również sprawiała, że wejście było dla zwierząt praktycznie niedostępne, nawet gdyby drzwi nie były zamknięte na klucz. Klucz łuczanin otrzymał od Małeckiego.

Wnętrze było urządzone ubogo, wysprzątane i zakurzone. Małe okienka wpuszczały zbyt mało światła, ale i tak nie dało się nie dostrzec, że ktoś próbował motykami splantować klepisko w pobliżu klejonego pieca z polnych kamieni. Tam, gdzie się to nie udało, wciąż widać było ciemne ślady. Wilki dopadły jegra w budynku, czyli albo nie zamknął drzwi, albo ktoś im pomógł w dostaniu się do środka.

– Psia kruc – Czichotzki zaklął, bo ta myśl bardzo mu się nie podobała.

Rozejrzał się w poszukiwaniu skrzyni, o której mówił pisarz. Stała pod ścianą obok szafy. Była przeładowana, klapa się nie domykała i z tego zapewne powodu jej zawartość nie nadawała się do użycia: wilcze sieci były zatęchłe, spleśniałe i zjedzone pospołu przez myszy i mole. Rozsypały się wolfmajstrowi w rękach. Czichotzki opuścił klapę, wzbudzając chmurę kurzu. Przysiadł na ławie i na blacie z desek ułożył sztucer, spod łoża wyciągnął wycior i stempel, z worka garść flejtuchów, które po kolei rozprostowywał i oglądał pod światło olejowej lampy. Przy broni operował z wprawą. Najpierw wyciorem wyczyścił obie gwintowane lufy, następnie szczotką wyszorował kurki i panewki obu zamków, sprawdził umocowanie krzemieni i przystąpił do polerowania bogato inkrustowanej kolby. Zdobienia z mosiężnego drutu zatopionego w orzechowym drewnie przedstawiały wychodzące z lasu rogate jelenie i długouche zające, do których z przeciwka zbliżali się konni mierzący do zwierząt. W migotliwym płomieniu lampy obraz ożywał, myśliwi prostowali się w siodłach, konie zaczynały galopadę.

Czichotzki zjadł zapasy, z worka wypakował większość zabranych sprzętów i możliwie lekko obciążony wyszedł z leśniczówki z powrotem na groblę.

Znaleziona grudka odchodów była mizerna, stado ewidentnie głodowało. Przez chwilę analizował wygląd stolca, typując ostatnie ofiary, a raczej szukając ludzkich szczątków. W końcu wstał i przestąpił nad zostawionym przez wilki znakiem, wchodząc na terytorium watahy. Mimo mrozu nogi łuczanina zapadały się w błoto, dlatego stąpał ostrożnie, starając się wynajdować kępy mchu lub trawy, kawałki drewna, kamienie. Widoczność ograniczała ni to mgła, ni to mżawka. Nos drażnił duszący smród bagiennych wyziewów. Pnie połamanych, martwych brzóz gięły się w różne strony, nadając okolicy upiorny

wygląd. Było wyjątkowo cicho i tylko z oddali dobiegało krakanie.

To, co zastał na polanie pomiędzy bagnami, nie było wilczym ogrodem, ale zaledwie zamiarem jego zbudowania. Zamiarem porzuconym lata temu, na co wskazywał stopień rozkładu zgromadzonych na stosie belek. Leżące obok zwierzęce szczątki dowodziły, że mimo braku pułapek na drapieżniki nęcisko z jakiegoś powodu funkcjonowało, uzupełniane zwłokami padłych zwierząt. Ostatnie dodano jakiś czas temu, na co wskazywała biel potrzaskanych kości i prawie niewyczuwalna na mrozie woń padliny.

Niemal pośrodku wzniesienia rósł buk. Czichotzki wyjął z wora bartnicze leziwo złożone z lin i drewnianej ławeczki. Zmierzchało, dlatego bez zwłoki przystąpił do wspinaczki. Nie liczył na zbyt wiele, ale też nie sądził, by żyjące na bagnach zwierzęta lubiły siedzieć we wpół zmrożonej wodzie, dlatego suche wzniesienie musiało często służyć za miejsce wypoczynku. Jak na razie wolfmajstra, bo siedzący wygodnie na ławce na wysokości pięciu chłopa, chroniony przed wiatrem gęstwiną gałęzi, objedzony wędzonką i bezpiecznie otulony linami poczuł senność. Sztucer zaklinował na udach pomiędzy tułowiem i pniem drzewa i pozwolił powiekom opaść. Skrzypiący na wietrze konar i szeleszczące suche trawy uśpiły go momentalnie.

Do wschodu słońca zostało jeszcze sporo czasu, choć brzask wyciągał już z mroku szczyty drzew. Szara poświata powoli opadała, obejmując jałowce i dziką porzeczkę, wsiąkała pomiędzy oszronione źdźbła traw i gałązki mchów, rozlewała się po bagnie, mieszała z jego waporami. Wolfmajster zmarzł. Budził się kilka razy, gdy zimny szkwał dostał się pod kołnierz surduta. Kąsał niczym komar, wywoływał pod skórą dreszcz, który raził mięśnie od karku aż po łydki. Po pobudce mężczyzna przez chwilę dmuchał w zmarznięte dłonie, poruszał zmarzniętymi stopami, by pobudzić krew do ruchu. Zaprzestał tej gimnastyki, gdy kątem oka dostrzegł ruch. Dużo ruchu. Przez chwilę nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Od zachodu, a przy tym od nawietrznej, szła zgraja wilków. Zwierzęta, na ile mógł ocenić z tej odległości i w tym świetle, były wychudzone. Niemal widział, jak futro na ich bokach faluje, to zbijając się, to znów rzedniejąc, gdy skóra wędrowała po harmonijce żeber. Wilków było dziesięć. Dwanaście, jeśli dodać dwójkę poranionych kilkumiesięcznych szczeniaków kulejących wolno kilka kroków za pozostałymi. Stado weszło na polanę. Znów szczęście uśmiechnęło się do wolfmajstra, bo leziwo zawiesił na wschodniej stronie buka, tak że teraz przed watahą zasłaniał go pień. Wolnym ruchem spróbował bezgłośnie uwolnić sztucer przyciśnięty do drzewa. Na szczęście do strzału musiał go tylko podsypać prochem – owinięte flejtuchami kule załadował jeszcze w leśniczówce. Zamarł, gdy zwierzęta zatrzymały się i zaczęły węszyć w jego kierunku. Trudno powiedzieć, czy go wyczuły, niemniej po chwili podjęły przerwany powolny marsz.

Położyły się obok stosu zmurszałego drewna. Najpierw para rozpłodowa bezpośrednio przy belkach, pozostałe osobniki w stosownej odległości. Dopiero po chwili Czichotzki zorientował się, że ranne młode nie podchodzą do watahy, jakby obawiając, że zostaną przegnane. Czyżby to stado tak je pokiereszowało? – pomyślał Czichotzki, analizując lizane rany. Z czerwonych języków unosiła się para.

Skryta za chmurami blada tarcza słońca wciąż wspinała się po drzewach na horyzoncie, gdy na polanę od drugiej strony wszedł zilcarz. Odziany w futro mężczyzna strzelbę niósł na ramieniu, do tego przyciśniętą płóciennym workiem. Wilki już go dostrzegły. Niektóre podniosły łby, wszystkie obróciły uszy w stronę źródła dźwięku. Nie spłoszyły się, nie uciekły ani nie zaatakowały. Wiszący na drzewie łuczanin przestał obmacywać surdut w poszukiwaniu rogu z prochem i znieruchomiały obserwował z fascynacją niezwykłą scenę rozgrywającą się poniżej. Kubatzki dotarł do stada, minął zwierzęta leżące na jego obrzeżach i podszedł do wadery. Wilczyca nie wstała. Patrzyła na człowieka. Ten przykucnął krok od niej, skinął jej głową, po czym wstał. Stojące niżej w hierarchii zwierzęta również. Bez żadnych sygnałów, przynajmniej rozpoznawalnych dla łuczańskiego wolfmajstra, otoczyły ranne szczeniaki i pozwoliły zilcarzowi wejść do powstałego okręgu. Dwa razy rozległo się rozdzierające, ale trwające moment skomlenie, gdy mężczyzna z wprawą wbijał długi nóż w serca.

Truchła przywiązał za tylne nogi do końców kija i zarzucił go sobie na kark niczym koromysło. Odszedł bez żadnych więcej gestów drogą, którą przybył. Czichotzki miał wrażenie, że miejscowy na moment zadziera do góry głowę i patrzy mu prosto w twarz, choć może tylko mu się przywidziało. Zdał sobie sprawę, że nie oddycha, i to od dłuższej chwili, bo płuca już płonęły, mięśnie szarpały, domagając się tlenu. Powietrza nabrał przez nos, starając się nie hałasować, i znów tylko kilka wilków zastrzygło uszami. Po krótkim wypoczynku odeszły na bagna po swoich śladach. Wolfmajster odczekał dwa pacierze i powoli zszedł na ziemię. Wataha zostawiła wyraźny trop, no i nadal była blisko, po nawietrznej, dlatego mógł pójść za nią, licząc, że uda się podejść i ustrzelić dominujących basiora i waderę. Klęknął, z trzaskiem metalu odciągnął kurki strzelby i niezgrabnie operując rogiem w zgrabiałej dłoni, podsypał prochem obie panewki. Już wstawał, gdy zza pleców dobiegł go podobny, ale cichszy odgłos odciąganego kurka. Zamarł.

– Wścibscy jesteśmy, panie Czichotzki. Powoli! – polecił głośniej Kubatzki, gdy wolfmajster mocniej złapał strzelbę, kładąc palec na spuście. – Odkładamy na ziemię, powoli.

Czichotzki wiedział, że nie zdąży się nawet obrócić, co dopiero wymierzyć i wypalić do Kubatzkiego. Nie sądził też, że ten gotów byłby strzelić do nieuzbrojonego człowieka, szczególnie strzelić w plecy.

– Porozmawiajmy – zaproponował wolfmajster, powoli przyklękając na jedno kolano i kładąc broń na oszronioną trawę. Wstając, usłyszał kroki.

– Nie tutaj, to nie nasz rewir. – Wciąż mierząc, zilcarz podniósł dubeltówkę, zarzucił na ramię i machnięciem lufy wskazał kierunek. – Ruszaj przodem.

Nie rozmawiali. Prowadzony od czasu do czasu czuł na plecach nacisk lufy i wówczas nieco przyspieszał. Buty zapadały się w ledwo tylko zmrożonym błocie, smród uwolnionych gazów dusił, droga na grobli meandrowała. Zza zakrętu wyłonił się mosteczek prowadzący do domku jegra. Kubatzki nie musiał mówić, dokąd mają się kierować.

Drzwi były zamknięte. Wolfmajster przekręcił klucz, który otrzymał od miejskiego pisarza, chwycił za klamkę i palcem wskazującym nacisnął spust zwalniający blokadę. Już wiedział, kto wpuścił wilki do leśniczówki, a potem do kuźni. Wnętrze wyglądało tak, jak je pozostawił. Z tą różnicą, że w alkowie pod niedużym oknem siedziała burmistrzowa w swoim czarnym czepku skrywającym siwe pukle. Jej twarz była pogodniejsza niż wtedy w karczmie i później na cmentarzu. Także plecy miała bardziej wyprostowane. Mierzący do Czichotzkiego zilcarz wskazał mu ławę, a następnie sam zajął miejsce na skrzyni z sieciami, w bezpiecznej odległości po drugiej stronie izby. W słabym świetle oglądał sztucer wolfmajstra.

– Ładna sztuka, bardzo ładna. W Łuczanach takie robią?

– W Königsbergu, z manufaktury Schulza, ale stal śląska.

– Musiała kosztować majątek. – W jego głosie wybrzmiały nieskrywany podziw, ale też życzliwa zazdrość.

– Płacą nam tyle samo. Stać cię.

Kubatzki skinął bez słowa i oparł broń o kamienny piec. Po chwili zastanowienia obok postawił również swoją strzelbę.

– Musimy sobie trochę kwestii wyjaśnić.

– Na przykład nasyłanie zilków na jegra i kowala? – Wraz ze zniknięciem zagrożenia Czichotzki poczuł złość na siedzącego naprzeciw mężczyznę. I lęk, bo to, co właśnie mu zarzucił, było po prostu niemożliwe.

– To też, ale zacznijmy od początku. Powiedz, czy wierzysz w boży porządek? Wierzysz, że jak ktoś jest winien zbrodni, zostanie ukarany albo przez królewskie sądy, albo boskie? I dobrze, bo tak po prostu jest – dodał, gdy łuczanin niepewnie pokiwał głową. – A raczej tak było, dopóki stary sędzia nie nakazał, by urodzoną w piątek małą Julkę od Kowalskich okrzcić w niedzielę. Poznałeś ją, to teraz Gontschorowska, burmistrzowa bziałka. – Wskazał ruchem głowy milczącą kobietę.

– To zabobon – wolfmajster przywołał opinię Małeckiego.

– Tak. Jak zabobonem jest, że gdy krzestni trzymający dzieciaka w kościele myślą o zilkach, to ten dzieciak w dorosłości będzie zilkołkiem.

Na ostatnie słowa oczy siedzącego na skrzyni zapłonęły bursztynem. W jego wysokim głosie pobrzmiało warknięcie.

– I to niby dlatego możesz rozkazywać watahom? Ciesz się, że nie myśleli o krowach albo o baranach. Musi być inne rozwiązanie, inne wytłumaczenie. I ja je znajdę. I to ciebie doprowadzę pod sąd za zabicie jegra, kowala i dwójki dzieci, bo te pewnie same po lesie w nocy nie łaziły, musiał je ktoś z domu wykraść, zilkom oddać.

– On to robi dla mnie. – Gontschorowska odezwała się po raz pierwszy. – I dla tych dzieci, dla dzieci rybaka Schlonsacka i Żyda Liedkego. Bo to dobre i sprawiedliwe. One… – przerwała i rozpłakała się. Z rękawa koszuli wyjęła haftowaną chustkę, którą przycisnęła do nosa.

– To jegier porwał dzieci. On miał do nich, jak ma chłop do baby, ale dorosłej. Porwał je, zamknął w chlewiku, krzywdził je tygodniami, aż w końcu zamęczył i wyrzucił ciała na nęciska, żeby zilcy zatarli jego zbrodnię. No i to nie one ciała dzieci rozszarpały. Bym wiedziała. To raczej lisy były. Tyle że taka zbrodnia była zbyt wielka i nie mogła pozostać bez sądu.

– Skąd wiesz, że to był jegier?

– Szpuki targałam na cmentarz. – Łkającej kobiecie trudno było uspokoić oddech. – One mi wszystko powiedziały, wszystko pokazały. Niosłam je tam, ale one wracały. Niosłam znowu, a one dalej nawiedzały we snach, prosiły o sprawiedliwość, o zemstę.

– Małecki sobie kiedyś wymyślił, że Julia pozwoli im omijać ten boży porządek, w który ty i ja wierzymy, igrać z nim, unieważnić go. – W głosie zilcarza nagle pojawił się gniew. – Że teraz będą mogli bić bziałki, okradać kościół, napadać sąsiadów, rabować puszczę, kłusować. Bo żadna siła zza grobu nie przybędzie, nie nawiedzi domu, nie ześle nieszczęść na ludzi i chorób na zwierzęta, a sam sędzia przed sąd nie przyprowadzi, bo on sam od kłusowników mięsa skupuje i wozami na handel wywozi. A reszta dostała tarczę, która ich chroniła: trygierkę szpuków, która umęczoną duszę odprowadzi za miasto. A że szpuk przy tym opowie o swojej krzywdzie, pokaże ją, przyda biednej kobiecie trosk, zmarszczek i siwych włosów? Na takie poświęcenie ludzie są gotowi! W końcu to nie ich troski, nie ich zmarszczki i siwizna.

– A nawet jeśli ci uwierzę, nawet jeśli to prawda, to czemu kazałeś zilcom jegra zabić?

– Bo bożego porządku nie da się unieważnić, nie da się okpić. Bo ktoś za krzywdę dzieci Schlonsacka i Liedkego musi zapłacić. A ja nie chciałem, żeby płaciła Gontschorowska, bo to nie ona je skrzywdziła. I nie, zilcom nic nie kazałem – zaprotestował. – Sam go zabiłem w Noc Janową, gdy muszę się w zilcą skórę oblec, bo mnie Małecki, mój ojciec krzestny, taką klątwą obdarował[11].

Cisza trwała dłuższą chwilę. Trygierka z rzadka już tylko ciągała nosem, trawiący słowa Kubatzkiego wolfmajster strzelał kłykciami.

– Po co mi to mówisz?

– Bo już mnie podejrzewa. Domyśla się, że stoję na straży bożego porządku i kiedyś przyjdę po niego. Chyba jeszcze nie ma pewności, dlatego robi to, co robią zawsze: gdy pojawia się problem ze szpukami, wyręcza się Gontschorowską. Gdy pojawia się problem z zilkami, wyręcza się mną. A gdy pojawia się problem z zilkołkiem, wyręczają się zilcarzem. Żeby tylko dalej móc bezkarnie łamać porządek, zakłócać równowagę.

– Ludzie wiedzą?

– O Julii tak, bo im powiedziała. O mnie chyba nie. Wiedzą tylko, że to ja dbam, żeby watahy za dużo nie szkodziły.

– To dlatego martwe szczenięta?

– Tak. To element równowagi, element umowy – z chłodem w głosie odpowiedział zilcarz. – Moim zadaniem jest stać na straży równowagi.

---

11 W połowie XIX wieku przed sądem magistrackim w Rastemborku stanął mężczyzna oskarżony o kradzież owiec. Podsądny przyznał się do winy, ale prosił o nadzwyczajne odstąpienie od kary, gdyż to nie jego wina, ale wina jego rodziców chrzestnych, którzy trzymając go do chrztu, myśleli o wilkach. I to przez nich stał się wilkołkiem i w noc świętojańską i w sylwestra musiał się zmieniać w wilka.

Equilibrium, jak Małecki lubi mówić, bo niby taki uczony. Zilcy nie atakują ludzi i ich zwierząt, za to ludzie nie zatrudniają prawdziwego zilcarza, nie urządzają obław i polowań, nie kopią dołów i nie stawiają ogrodów. Padłe sztuki oddają zilkom, te w zamian oddają część swoich młodych, a gdy tych zabraknie, również dorosłych.

Z każdym wypowiedzianym słowem oczy łuczanina rosły, robiły się coraz okrąglejsze. Z rosnącym zdziwieniem spoglądał na Kubatzkiego, ale ze dwa razy zerknął też na Gontschorowską, jakby szukał u niej potwierdzenia usłyszanych rewelacji.

– Nie. To bujdy, brednie jakieś wyssane z palca! Nie da się z zilkiem wejść w zmowę! To bestie najgorsze, najzłośliwsze, gorszych na ziemi nie znajdziesz. I przecież zilcy na konie i bydło polują. Sam pisarz mówił...

– Bo ludzie i tu swojej części umowy nie przestrzegają, też łamią porządek – przerwał zilcarz. – O tym to już nie mówił? Kłusują, dziką zwierzynę wybili niemal do nogi, dlatego watahy głodują. Ba, grubego zwierza to dosłownie do nogi. Nie znajdziesz na bagnach i w puszczy niedźwiedzia, tura, żubra, łosia. Jelenie też już prawie wszystkie wytłukli. Za to swoje bydło oszczędzają, czartom tylko w Trinitatis w Juchach[12] na kamieniu zarzynają. I jeszcze Stroyeffky w ruinę obracają, żeby urzędnik królewski podatku od dymów i plonów nie pobrał. Pewnie ciebie też Małecki na powitanie piwem na łopianie poczęstował. A pszeniczne chmielone sobie warzą. Sam dba, żeby kto złotogłowem przez przypadek nie zaświecił, nowym wozem się nie zdradził. Do takiegoś żmijowego gniazda przyjechał i śmiesz na zilków wyrzekać?

Coś było na rzeczy, pomyślał Czichotzki. Od przybycia do miasta towarzyszył mu zapach dobywający się z wędzarek, a u pisarza i potem w karczmie jadł więcej wędlin i pieczystego niż kiedykolwiek wcześniej, nawet więcej niż w dwunastki czy karnawał. Nadal jednak nie zamierzał Kubatzkiego usprawiedliwiać.

– A kowala to też dla bożego porządku rzeczy? Dla równowagi? Dla zadośćuczynienia krzywdzie?

– Tak – Kubatzki odpowiedział z pewnością w głosie. Jego oczy zapłonęły złotem. – Bziałkę swoją tłukł przez lata, aż w końcu ją zatłukł. Jak poprzednią. Tyle że dużo w parafii robił: ławki, ołtarz, świeczniki; ofiarą hojną sypał, więc mu nic zrobić nie mogli. Wszyscy udawali ślepych, gdy obita jak jabłkowe spady przychodziła na targ. Sam widziałem. To moja rola – porządku pilnować, który tu gwałcą. Bożego porządku, który został ustanowiony od stworzenia świata i ma trwać na wieki wieków.

– Amen – Czichotzki odpowiedział odruchowo. – Ale źle zawsze się kończy dla wszystkich, gdy ktoś mianuje się mieczem Pana. Zawsze. Ciebie też spotka nieszczęście, spotka też wielu postronnych, którzy niczemu nie zawinili.

– Tak – Zilkołek posmutniał, przytaknął wolnym ruchem. – Bo jest też inny powód. Wiesz przecież, że zilcy, skoro ciała człowieka mile zasmakują, omijają zwierzęta i ludzi napadają.

– Czyli kiedyś będę musiał wrócić po ciebie.

– Tak. Masz królewskie prawo wykute w sercu na wieki wieków. Przyjdziesz kiedyś po mnie, gdy nie będę już strzegł bożego porządku. Zajmiesz moje miejsce lub kogoś wyznaczysz, by mnie ustrzelił. Bo jesteś wolfmajster. Zilcarz, jak naju gadają.

– Amen. – Czichotzki podniósł się z ławy. Wyciągnął rękę, ale miast podać ją Kubatzkiemu, wolno sięgnął po swój sztucer i wręczył broń mężczyźnie.

– Zamówię drugi u Schulza i wtedy będziemy jak równy z równym. Ale najlepiej żebym tu nigdy nie wracał, więc trzymaj się z dala od ludzi, bo droga tu do was taka, że niech to bziesy obsrają. A czemu do zilców nie przystaniesz, z dala od ludzi się trzymać? – spytał, gdy już wybrzmiał ogłuszający śmiech obdarowanego.

Ten momentalnie posmutniał.

12 Zgodnie z legendą w Starych Juchach znajdował się pruski kamień ofiarny, a sama nazwa miejscowości pochodzi od krwi ofiar.

– Nie mogę. Śmierdzę im człowiekiem. Trwam tak między ludźmi i zilcami jak Julia między żywymi i szpukami. Tu nasze miejsce.

– Amen – powtórzył łuczanin i skinął głową obojgu.

W mieście, nie odpowiadając na zaczepki, pytania i zaproszenia na rozmowę, spakował swoje bagaże, objuczył konia i przed zmierzchem wyjechał na groblę. O zmroku zawiesił latarnię na kiju przytroczonym do siodła, by oświetlić drogę. Wiedział, że dopóki umowa obowiązywała, dopóki zilcarz stał na jej straży, mógł podróżować bezpiecznie. Długo jeszcze ciągnął za nim zapach wędzonej na jałowcu dziczyzny wypieranej stopniowo przez przesyconą wonią torfu mgłę. Pod lasami wyły wilki. Trzy, jak ocenił fachowym uchem odprowadzający go orszak.

Pisz-Zdory, 2020

➡ ARTUR OLCHOWY

Dzoon fandomikon, dorywczo pisarz, hobbystycznie nekromanta próbujący wskrzesić mazurski folklor. Autor postapokaliptycznej mazurskiej „Czarownicy znad Kałuży".

Rys. Igor Myszkiewicz

XTD | OFFICIAL WEBSITE WWW.XTDMUSIC.EU

+ starsze płyty + moduły muzyczne + wiele, wiele więcej

Hasło do modułów: **Amy** (specjalnie dla czytelniczek i czytelników „NerdMAGa")

Muzyka oraz większość materiałów na stronie jest za darmo. Jeżeli jednak macie ochotę na więcej, polecam udzielić wsparcia poprzez stronę i zyskać dostęp do „Strefy Specjalnej".

XTD – oficjalny i wieloletni twórca oprawy muzycznej podcastu „Nerdy Nocą".

NERDY NOCĄ 18+

zapraszają na zreaktywowaną serię spotkań z pasją pt. **Nerdy Nocą Na Lewo**!

NNNL to wideospotkania:
z kimś
na jakiś temat
na żywo
przez internet

Slajdy, zdjęcia, filmy, ciekawostki! Głupie pytania! Mądre pomysły! Anegdoty i wspomnienia!

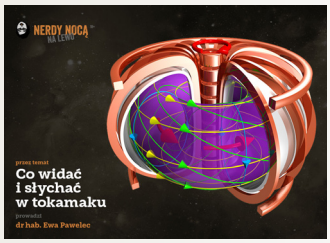

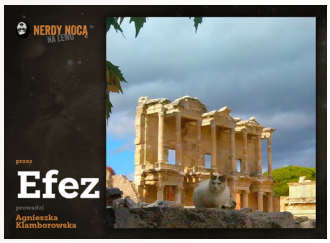

Zobacz i posłuchaj! W następnych częściach poznajemy m.in. Wielki Zderzacz Hadronów, staropolską kuchnię i pieniądze, omawiamy elektrownie oraz przewidujemy przyszłość.